Dziś w numerze: T. WOJCIECHOWSKA **Czym chata bogata** ● F. BĄBOL **Drukarze ze Stoków** ● K. FREJDLICH **Młodość to odwaga** ● **Oczekiwanie na łóżko** ● **Czworo w przedziale** ● **Z dzienników** ● **Okaleczona ręka**

odgłosu

WOJEWÓDZKA ODZNAKA ZŁOTA M. ŁODZI

28 (521)
13. VII. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

„SILNA GRUPA POD WEZWANIEM" — T. CHYŁA I K. GRZEŚKOWIAK. (O Festiwalu Opolskim — na str. 5)

JAN BABIŃSKI

BRATANKOM SZEROKIEJ DROGI

Węgier, Polak, dwa bratanki...

Tym zdaniem wypowiedzianym łamaną dość polszczyzną powitał mnie jeden z szefów budapeszteńskiej centrali turystycznej „Ibusz". Biuro było w jakiejś mierze odpowiednikiem naszego „Orbisu" i mieściło się w jednym z tych zacnych i wielce nobliwych gmachów, którymi Budapeszt jak Paryż i Wiedeń porósł w drugiej połowie ubiegłego wieku. Od razu wyjawię, że na Węgrzech traktuje się turystykę ogromnie serio. Inwestuje się w nią krocie w myśl dobrej zasady — turystyka też przemysł, tyle że bez kominów.

Nad Dunajem już dawno zrozumiano, że Europa ma bzika na punkcie turystyki, że współczesny człowiek ogarnięty jest ową specyficzną chorobą, która wygania go z domowych pieleszy i każe włóczyć się po świecie. W samym tylko roku ubiegłym zwaliło się na Węgry blisko 5 milionów cudzoziemców z wszystkich prawie kontynentów. Aby sprostać fali, która raczej narasta, buduje się obecnie w Budapeszcie kilka niebotycznych hoteli, że wymienię „Dunaj", „Grand-Hotel" i „Mathias-Rex".

Polska turystyka swój szczyt osiągnęła na Węgrzech przed trzema laty.

Wówczas to za pośrednictwem „Ibuszu" odwiedziło kraj Madziarów przeszło 200 tysięcy Polaków. Od tej pory idzie jednak w dół. W zeszłym roku gościnny „Ibusz" przyjął już tylko 120 tysięcy polskich turystów — kilkakrotnie mniej niż Czechów, Niemców i Jugosłowian. Czym to więc wytłumaczyć? Jeśli bratanki, to jak na bratanków przystało, Polak winien odwiedzać Węgra możliwie często. Coś jednak nie tak. Oblatane po szerokim świecie ciuchary o nosie długim i odpowied-

Dalszy ciąg na str. 5

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

URLOPY CZYLI KROK PIERWSZY DO ZRÓWNANIA

Zbliżający się sezon urlopowy przynosi nagły wzrost zainteresowania reporterów letniskowymi miejscowościami, sprawami morza, gór i jezior. W tym roku obok tych tradycyjnych zainteresowań pojawiły się nowe — prawnicze. Jest to wynik uchwalonej przez Sejm ustawy o urlopach. Rodziła się ona w bólach i dyskusjach. Jej początek dali mówcy zabierający głos na licznych zebraniach i naradach, kiedy postulowali zniesienie różnic społecznych tak nie pasujących do socjalizmu.

Klasycznym przykładem może tu być panienka z okienka — inaczej urzędniczka z poczty — i inżynier obsługujący skomplikowany ciąg agregatów. W pierwszym przypadku nikt nie wątpi o umysłowych podstawach pracy na poczcie, choć — nie podważając wartości i znaczenia jakiejkolwiek pracy — wiele tu czynności wykonuje się mechanicznie, w drugim — formalnie zdarza się jeszcze przynależność do grupy pracowników fizycznych, choć o umysłowym charakterze działania wątpić nie wolno. Jesteśmy jednak społeczeństwem, które współczesne stosunki i współzależności kształtowało w nieco odmiennych warunkach historycznych i które nie wyzwoliło się jeszcze do końca z tradycyjnych zależności i pojęć. Na całym świecie pojęcie inteligencji odnosi się do umiejętności szybkiego kojarzenia faktów i wyciągania wniosków i jest pojęciem z dziedziny psychologii, tylko u nas miano takie otrzymała grupa społeczna, która wywodząc się z podupadłej szlachty lub mieszczaństwa usiłowała wywołać u siebie i innych wrażenie, że jej praca jest lepsza, szlachetniejsza i bardziej wartościowa.

W świadomości społecznej — mimo dokonujących się stale zmian — pozostał podział na lepszą i gorszą pracę. Pojawiające się stale w gazetach ogłoszenia o poszukiwaniu gosposi, brak ludzi do pracy w brygadach remontowych MPK i przedsiębiorstw drogowych stanowi rezultat dawnych pojęć, ale przenie sionych w inne warunki. Z drugiej strony zupełnie niezależnie od pojęciowych dziwolągów pojawia się tendencja do zniesienia podziału na pracowników fizycznych i umysłowych — na robotników i urzędników. Podstawą tych postulatów nie jest jednak urażona ambicja, a sytuacja prawna. Zdarza się wpraw dzie, że robotnik zarabia prawie dwa razy więcej niż skromny urzędnik, ale potrzeba było wielu wysiłków, aby spowodować podjęcie pracy w fabryce przez... maturzystów. Coraz mocniej zaczęto zdawać sobie sprawę, że zmianę tradycyjnych wyobrażeń można spowodować nie tyle zachętą, co skutecznym, prawnym działaniem. Trzeba po prostu usunąć powody tych pokutujących tu i ówdzie przekonań.

CRZZ skrzętnie zbierała i kompletowała wszelkie uwagi i propozycje, zmierzające do zniesienia tradycyjnego podziału. Problem okazał się wielowarstwowy i wcale nie łatwy. Potrzeba było znaleźć pierwsze ogniwo, od którego można byłoby zacząć dokonywać cały szereg dalszych zmian. Takim ogniwem okazały się **urlopy.**

* * *

Pod koniec kwietnia 1969 roku Sejm PRL uchwalił ustawę o pracowniczych urlopach wypoczynkowych. Przypomnijmy może w punktach najważniejsze jej postanowienia.

◆ Ustawa wchodzi w życie z dniem jej ogłoszenia, ale z mocą od 1 stycznia 1969 roku.

◆ Za podstawę do określenia wymiaru urlopu wypoczynkowego przyjmuje się staż pracy i wykształcenie. Najniższy wymiar urlopu wynosi 14 dni roboczych i przysługuje po roku pracy. Najwyższy — 26 dni i przysługuje po 10 latach pracy.

◆ Absolwenci szkół zawodowych, techników, średnich szkół ogólnokształcących, pomaturalnych i wyższych otrzymują „premię" doliczaną do stażu pracy. Najniższą „premię" — 3 lata mają absolwenci szkół zawodowych, najwyższą — 8 lat absolwenci szkół wyższych.

◆ Zmianie uległo pojęcie ciągłości pracy. Nie traci jej ten, kto w ciągu 3 miesięcy po zakończeniu jednej podejmie drugą. Kto porzuci pracę samowolnie lub kogo zwolniono z jego winy, ten po przepracowaniu jednego roku w nowym zakładzie otrzymuje urlop w **„wymiarze bezpośrednio niższym niż przysługiwał mu przed rozwiązaniem stosunku pracy".** W następnym roku wraca do poprzednich praw.

◆ Dotychczasowych uprawnień urlopowych nie utracili nauczyciele,

Dalszy ciąg na str. 4

ze ŚWIATA

Po tygodniach nadmiaru wydarzeń politycznych, kiedy to trzeba było kłopotać się, jak choćby w skrócie skomentować najważniejsze z nich, nadszedł czas spokojniejszy, pozwalający na bardziej refleksyjne ogarnięcie obecnej sytuacji.

Na czoło znów wysuwają się Wietnam i Bliski Wschód.

Doniesienia agencyjne z Wietnamu Płd. mówią o zajadłych walkach, o dużej aktywności wojsk wyzwoleńczych i licznych bombowych rajdach amerykańskich superfortec „B-52". Równocześnie kolejne, już 24 posiedzenie czterostronnej konferencji w Paryżu znów nie przyniosło dawno przecież oczekiwanego postępu.

Ale jednocześnie narasta zniecierpliwienie w Stanach Zjednoczonych z powodu utrzymującego się stanu wojny. Wyrazem tego jest chociażby wypowiedź senatora G. McGoverna, który w ub. tygodniu informował senat o wynikach swych rozmów z przedstawicielami DRW i NFW. Ich argumenty musiały być przekonywające, jeśli senator oświadczył:

„Żadne rokowania czy to w Paryżu czy w innym miejscu nie będą zasługiwać nawet na miano rokowań dopóty, dopóki nie przerwiemy naszych operacji ofensywnych i nie zaczniemy systematycznie wycofywać wszystkich naszych wojsk — najlepiej w ciągu najbliższych 12 miesięcy".

Senator nie dodał, że im szybciej to nastąpi, tym lepiej dla Stanów Zjednoczonych. Prawda jest jednak taka. Czas bowiem — sądząc chociażby po zwiększającej się liczbie państw, które uznały Tymczasowy Rząd Rewolucyjny Wietnamu Płd. — nie pracuje na rzecz Stanów Zjednoczonych.

Również z Bliskiego Wschodu niemal codziennie napływają informacje, które nie rokują szybkich pokojowych rozstrzygnięć. Prowokacjom Izraela nie ma końca. Wielogodzinne kanonady nad Kanałem Sueskim i bojowe wypady samolotów agresora są na porządku dziennym. Tym zbrojnym incydentom towarzyszą poczynania, zmierzające do całkowitego zaanektowania okupowanych terenów.

W tej ostatniej sprawie z inicjatywy rządu jordańskiego zwołano ostatnio posiedzenie Rady Bezpieczeństwa. W posiedzeniu wzięli udział liczni przedstawiciele krajów arabskich. Do dyskusji zgłosili się delegaci ok. 20 krajów, w tym 15 krajów arabskich i innych z „trzeciego świata". W historii Rady Bezpieczeństwa nie było jeszcze wypadku, aby jakikolwiek problem wywoływał tak żywą dyskusję ze strony państw, nie będących jej stałymi członkami.

Bo też postępowanie Izraela na okupowanych terenach, a zwłaszcza w zajętej arabskiej części Jerozolimy, wywołuje powszechny sprzeciw. W ciągu dwóch lat, jakie minęły od agresji, nie było tak zwartego przeciwko Izraelowi frontu, jak obecnie. W tej sytuacji nawet sprzymierzeńcy Tel Awiwu nie zdobyli się na słowa poparcia, czy usprawiedliwienia.

Takiego obrotu sprawy, który by osamotnił Izrael na międzynarodowym forum, w Tel Awiwie nie przewidywano. Podjęto więc natychmiast próby rozmów kuluarowych, które antyizraelski front miały rozerwać. Jednak bez powodzenia.

5 państw członkowskich ONZ — Algieria, Nepal, Pakistan, Senegal i Zambia — przedłożyło natomiast Radzie Bezpieczeństwa projekt rezolucji, przewidującej w ciągu miesiąca wprowadzenie w życie zaleceń pod adresem rządu izraelskiego. Projekt ten — w razie niepodporządkowania się Tel Awiwu — zakłada sankcje gospodarcze.

Z areny europejskiej warto znów zająć się sytuacją w NRF. W ub. tygodniu wstępnie zastanawialiśmy się nad prognozami wyborczymi. Teraz nieco o nowym momencie, jaki stwarza objęcie urzędu prezydenckiego w NRF — notabene po raz pierwszy — przez socjaldemokratę. (Przypominamy, że Gustav Heinemann, którego właśnie zaprzysiężono na ten urząd na połączonej sesji obu izb zachodnioniemieckiego parlamentu, wybrany został prezydentem w marcu br., odnosząc zwycięstwo nad kandydatem CDU — G. Schroederem).

Inauguracyjne oświadczenie nowego prezydenta wskazuje, że sytuacja rządu Kiesingera może się skomplikować. Heinemann podjął kilka problemów, zarysowując rozbieżne stanowisko z kanclerzem. M. in. uznał za konieczne stwierdzić, że „do szczególnych zadań naszej polityki należy zdobycie zaufania", ponieważ w 24 lata po wojnie wciąż jeszcze „nie osiągnięto porozumienia również z naszymi wschodnimi sąsiadami".

Wyliczenie tego zadania, jako jednego z najważniejszych, jest przyznaniem, że to właśnie na NRF ciąży obowiązek wystąpienia z pokojowymi inicjatywami, a więc tym bardziej podjęcia wysuniętych przez inne kraje.

Wiele słów gorzkiej prawdy wypowiedział nowy prezydent o sytuacji w NRF, a zwłaszcza jej dziedzictwa i ustroju demokratycznego. Oznajmił także, iż w wypadku konfliktu z rządem gotów jest ustąpić ze swego stanowiska. Stwarza to nową sytuację, w której rząd będzie się musiał w jakimś stopniu liczyć z prezydentem.

Prasa zachodnioniemiecka tak była zaszokowana słowami prezydenta, że w pierwszej chwili zaniemówiła. Potem jednak zaczęła przypominać, że konstytucyjnie ustalone uprawnienia prezydenta nie są zbyt wielkie.

Już samo to przypomnienie jest wielce znaczące...

W. SŁAWSKI

KONRAD FREJDLICH

Młodość to odwaga

W sopockiej kawiarni „Złoty Ul" roztrząsaliśmy sobie niedawno z Jerzym Afanasjewem problemy studenckiego ruchu kulturalnego. Temat jak rzeka, a przecież, wbrew naszym intencjom, był to przede wszystkim wieczór wspomnień. Mówiliśmy tam sobie o rewelacyjnym teatrzyku „Bim-Bom" i równie miłym naszym sercom „Co-To", nie pominąwszy, rzecz jasna, „Cyrku Rodziny Afanasjeff". Wspominaliśmy więc nie tak znów odległe lata, gdy kulturalny ruch studencki rodząc się z autentycznych ambicji i potrzeb był głosem pokolenia; kiedy wyrażał przemyślenia dotyczące całej powojennej rzeczywistości i określał w niej miejsce młodych; kiedy najbardziej szalonym eksperymentom artystycznym towarzyszyło mocne poczucie odpowiedzialności za ideowy sens twórczych poszukiwań.

Z tamtych to przecież czasów wywodzi się, przejęte z dobrodziejstwem inwentarza, spore zainteresowanie społeczne wszystkimi przejawami akademickiej Muzy. Spontaniczny ruch, zapoczątkowany przez kilkudziesięciu zapaleńców, rozwinął się w ogromny, ogólnopolski front kulturalny obejmujący swoim zasięgiem wszystkie studenckie środowiska, od Białegostoku po Szczecin. Dziś nie ma na tej mapie białych plam, ale nie ma też punktów szczególnie jaskrawych. Najlepszym tego dowodem mogą być ostatnie Łódzkie Spotkania Teatralne, gdzie nie było ani jednej rewelacji, ani jednej propozycji ideowej, która zasługiwałaby choćby na kilka zdań omówienia. Tak było kilka miesięcy temu, ale na wet odbyty niedawno w Krakowie czwarty już z kolei Festiwal Kulturalny Studentów wniósł niewiele nowego do tego obrazu. Z wyjątkiem może najnowszego spektaklu łódzkiej „Cytryny" i krakowskiego „Teatru — 38".

Piszę to, gdyż kończący się właśnie rok akademicki wprost prowokuje do zbilansowania działalności kulturalnej studentów za ten okres choćby tylko w skali Łodzi, jako że najbliższa ciału koszula. A także dlatego, że łódzki przykład nie odbiega na ogół od krajowej normy.

Kulturalnemu ruchowi studentów w Łodzi od lat patronuje ZSP, organizacja prężna, ale wszak nie wszechwładna. Toteż z uznaniem trzeba przyjąć fakt, że udało jej się przyciągnąć do tego ruchu blisko 900 studentów, którzy uczestniczą w nim czynnie. Jako reżyserzy i wykonawcy w teatrzykach czy kabaretach. Jako działacze i prelegenci klubowi. Wreszcie jako autorzy i spikerzy akademickich radiowęzłów. Ale ta imponująca liczba nie daje jeszcze, niestety, powodów do euforii. Czynne uczestnictwo w ruchu kulturalnym dotyczy wszak zaledwie pięciu procent wszystkich studentów łódzkich i to w mieście, gdzie funkcjonują trzy z dawna zadomowione wyższe uczelnie artystyczne. Bierne uczestnictwo w tym ruchu, które można przełożyć choćby na podstawie frekwencji w licznych klubach akademickich, także nie napawa zbytnim optymizmem. Wieczorek taneczny z udziałem orkiestry, czy choćby tylko przy muzyce z magnetofonu ma na ogół gwarantowane powodzenie. Ale bardziej ambitne imprezy klubowe; prelekcja, odczyt, spotkanie z pisarzem kończą się niekiedy remisem — jeden słuchacz na jednego prelegenta. Ruch kulturalny, realizowany przez rozbudowany sztab zapaleńców, ciągle jeszcze zapaleńców, przebiega więc wciąż pobok głównego nurtu studenckiego życia w Łodzi.

Do niedawna była to zresztą izolacja podwójna: przy niedostatku zainteresowania we własnym środowisku kulturalny ruch studencki nie podejmował dość skutecznych prób nawiązania trwałych kontaktów z życiem miasta, ze środowiskiem pracy. Akademicy wystrzelali od czasu do czasu jakąś premierą któregoś ze swych teatrów, zapraszali prasę i tzw. kompetentne czynniki, po czym kontakty urywały się do następnej premiery. Ten etap należy już do przeszłości. Najpełniejszych przykładów odejścia od tego izolacjonizmu dostarcza nam właśnie rok bieżący, bogaty w studenckie inicjatywy i świadczenia na rzecz miasta. Przypomnijmy choćby wkład akademickiej kultury w Łódzką Wiosnę Artystyczną: koncert galowy pod symboliczną nazwą „Studenci swojemu miastu", giełdę piosenki i piosenkarzy, kiermasz prac studentów PWSSP, festiwal etiud filmowych, koncert studentów PWSM czy wreszcie wielodniowy Przegląd Łódzkich Teatrów Studenckich i Robotniczych. A skoro już o teatrach mowa, nie wolno nam zapomnieć o akcji „otwartych drzwi", która umożliwiła zapoznanie się z najnowszymi produkcjami studenckimi tysiącom widzów. Na szczególne wyróżnienie zasługują tutaj dwa zwłaszcza spektakle. Pierwszy to „Romans siedmiu braci śpiących w Chinach" Micińskiego zrealizowany przez STUŁ w reżyserii Jerzego Hutka z ogromną kulturą i wykorzystaniem do maksimum wszystkich możliwości inscenizacyjnych, jakie dawał ten niesceniczny zresztą dramat. Był ten spektakl zapowiedzią dobrego teatralnego warsztatu i świadczy o potencjalnie dużych możliwościach prawie nieznanego do tej pory STUŁu. Drugi spektakl to „Czterdzieści cztery" w wykonaniu „Cytryny" świadczący o ambicjach politycznych zasłużonego teatru medyków. Zadanie było zresztą arcytrudne poczynając od adaptacji tekstów, nie mówiąc już o samej realizacji. Realizatorzy wzięli na swoje barki przedsięwzięcie niezwykle odpowiedzialne: postanowili ukazać poprzez teatr — patos i splątanie pierwszych dni narodzin Polski Ludowej, niepowtarzalny klimat powstawania nowej rzeczywistości społecznej. Wykorzystali do tego celu autentyczne dokumenty, relacje korespondentów wojenny, retrospektywne reportaże, eseje. Nie zawsze udało im się ominąć wszystkie rafy, ale przecież stworzyli w sumie spektakl o wysokich walorach ideowych i artystycznych, który bez żadnej przesady można uznać za sukces.

Nie dziwi mnie też, że spektakl „Cytryny", przeżywającej zresztą wyraźne odrodzenie, został wyróżniony na festiwalu krakowskim, gdzie studenci łódzcy wzięli udział w osiemnastu konkursach poczynając od konkurencji teatralnych a na Turnieju Jednego Wiersza kończąc. Formy mecenatu ZSP są bowiem bardzo różnorodne. W Krakowie jednym z triumfatorów był właśnie młody poeta łódzki Andrzej Biskupski nagrodzony wcześniej za ten sam co i na festiwalu wiersz „Głos pojedynczego człowieka" w Klubie pod Siódemkami.

Ale krakowskie sukcesy łodzian nie podważają w niczym mego wypowiedzianego wcześniej twierdzenia, że ruch kulturalny toczy się niejako obok zasadniczego nurtu studenckiego życia. Na ten stan rzeczy wpływa niewątpliwie niedowład klubów, które więcej znaczą statystycznie niż jako ośrodek promieniowania artystycznego na całe środowisko. Nawet wzorcowy Klub pod Siódemkami nie dopracował się jeszcze chyba optymalnego modelu działania. Wpływa na ten izolacjonizm także niedostatek ambicji teatrów studenckich w Łodzi uprawiających najczęściej warsztatową i ideową sztampę. Ucieczka od tematyki współczesnej, od problemów, którymi żyje cały naród, w sferę metafizyki i klasyki prowadzi do pogłębiającego się jeszcze rozsiewu między artystowskimi poszukiwaniami twórców studenckiej kultury i rzeczywistymi pragnieniami ich kolegów stojących obok tego ruchu i pozornie całkowicie obojętnych. Ten ruch jeszcze zbyt rzadko wypowiada się w ich imieniu, zbyt rzadko przemawia ich głosem. A przecież młodość to odwaga. Odwaga określenia samych siebie.

Łodzianie w karykaturze

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI
prozaik, dyrektor Wydawnictwa Łódzkiego

Rys. Ibis-Gratkowski

ZA TYDZIEŃ W „ODGŁOSACH":

- **KWIATY I KREW**
- **A LATO BYŁO TAKIE PIĘKNE**
- **KSIĄŻKA BEZ TYTUŁU**
- **CZŁOWIEK NA JEZDNI**
- **NOWELA KRYMINALNA**

ZOFIA TARNOWSKA

Oczekiwanie na łóżko

Zakład Statystyki Medycznej w Łodzi opracował wydawnictwo, którego dane, podobnie jak opracowania Instytutu Onkologii w Warszawie, wskazują na stały wzrost chorób nowotworowych. Jest to zjawisko powszechne, bo odnotowywane co roku na całym świecie. Nie należy więc niepokojących danych traktować jako czynnika fobiotwórczego, lecz z całym spokojem rozważyć wszystkie możliwości rozwijania kontrataku, czyli rozbudowywania bazy środków i metod walki z chorobą.

Wielka i długotrwała mobilizacja lecznictwa onkologicznego w kierunku szybkiego wykrywania chorób nowotworowych pokwitowana została powodzeniem, co oznacza w praktyce skuteczniejsze wyniki leczenia pod warunkiem, że rozpoczęte zostanie natychmiast. Istnieje bowiem coraz więcej skutecznych metod terapeutycznych od naświetlań począwszy, a na radykalnych zabiegach skończywszy. Rzecz w tym, że większość zabiegów wymaga dyscypliny leczenia polegającej głównie na hospitalizowaniu pacjentów.

I tu dochodzimy do problemu zasadniczego w działalności łódzkiego ośrodka onkologicznego — kolizji zasad z praktyką. Natychmiastowe rozpoczynanie leczenia nie jest w obecnych warunkach możliwe, bo na łóżko w szpitalu trzeba czekać do 3 miesięcy. Wszystkie łóżka wykorzystane są do maksimum. Według niezrozumiałych dla laika obliczeń, procent wykonania planu w tzw. osobodniach wynosi 113,7, a obłożenie łóżka w roku przekracza o 10 dni długość kalendarza). W wypadku nowotworów, kiedy czas gra tak ważną rolę — pogarsza to bardzo możliwości leczenia.

Ośrodek onkologiczny w swej pierwszej wersji — szpitalnej — bez przychodni — zorganizowany był w skromnych rozmiarach łóżkowych (50) przy ul. Sterlinga 13 w Łodzi. Tam uruchomiono leczenie radem i rentgenoterapię, a większość pacjentów stanowiły kobiety. I tam w ramach starań o przyjmowanie i leczenie jak największej ilości pacjentów — zorganizowano skromny i mały hotel dla tych, którzy przyjeżdżali z województwa na leczenie poprzedzane badaniami. Czas i przygotowania do leczenia chorzy spędzali w hotelu, dochodząc, a raczej schodząc do szpitala na określone zabiegi. Często tym samym trybem poddawani byli leczeniu jeśli nie wymagali leżenia w łóżku. W ten to prosty i mało kosztowny sposób nie „obkładali" deficytowych łóżek. Ośrodek przeniósł się do nowoczesnego obiektu, połączył się z Przychodnią Wojewódzką, stracił dawną bazę (można było zostawić ten oddział onkologii ginekologicznej) i pozornie nierentowny, a w gruncie rzeczy bardzo opłacalny hotelik. Nowego nie stworzono. Szkoda. Ekonomia czasu i pieniędzy wskazuje na konieczność powtórzenia udanej praktyki.

Łódź i województwo korzystają z jednej placówki lecznictwa onkologicznego. Z czę ścią szpitalną związana jest ściśle wojewódzka przychodnia onkologiczna posiadająca prócz podstawowych działów także takie specjalności jak laryngologia, urologia i stomatologia. Srednia liczba pacjentów, którzy przechodzą badania wynosi dziennie około 130 osób. Dwa lata temu przeprowadzono 40.200 badań, w ub. roku o 1300 więcej, a w tym było ponad 1000 badań pierwszorazowych.

Wszyscy lekarze (pełnoetatowi) szpitala zatrudnieni są w przychodni „na godzinach" i vice versa. Pozwala to na rotację konieczną przy prowadzonych specjalizacjach i zapewnia ciągłość opieki nad chorym, który skierowany do szpitala przez przychodnię po leczeniu wraca znów pod jej opiekę.

Niemal połowa pacjentów zarejestrowanych w przychodni i leczonych w ośrodku pochodzi z woj. łódzkiego. Zakres i jakość swiadczeń praktycznie doprowadziły do zmonopolizowania przez ośrodek skojarzonego leczenia nowotworów zapewniając koncentrację sił i środków tak miasta jak i województwa. **Krajowy specjalista onkologii prof. T. Koszarowski ocenia pracę ośrodka jako bardzo dobrą zarówno pod względem fachowym jak i organizacyjnym. Nie można jednak zgodzić się w pełni z tą opinią, skoro w praktyce codziennej oczekiwanie na miejsce w szpitalu trwa do 3 miesięcy.** Najlepsza organizacja i fachowość nie zdadzą się na nic, jeżeli nie można w porę przeprowadzić leczenia.

W niedalekim planie rozwoju ośrodka, zakłada się zwiększenie liczby łóżek. Nie otworzy to jednak drzwi szpitala wszystkim pacjentom potrzebującym natychmiastowego leczenia. Kierownictwo Wydziału Zdrowia Prez. RN m. Łodzi jest zdania, że jako jednostka Instytut Onkologii w Warszawie — powinien opracować konstruktywny plan lecznictwa onkologicznego z uwzględnieniem całego lecznictwa szpitalnego — także wojewódzkiego. Oddziały internistyczne, laryngologiczne, urologiczne i ginekologiczne szpitali miejskich i także kliniki AM i WAM leczą również pacjentów z chorobami nowotworowymi i będą leczyć nadal. Trzeba więc wprowadzić koordynację i ścisłe współdziałanie, a szpital onkologiczny powinien przyjmować tych pacjentów, którzy wymagać będą leczenia metodami naświetlań pierwiastkami promieniotwórczymi, bo tu koncentrować się będzie telegammaterapia. Ten bardzo kosztowny dział lecznictwa, sprostać ma zadaniom wobec miasta i województwa. Natomiast oddziały onkologii ginekologicznej wraz z radoterapią mogą powstać — i powinny — także w szpitalach powiatowych. Tam także trzeba organizować poradnie onkologiczne.

W tym aspekcie — zdaniem kierownictwa Wydziału Zdrowia — Instytut Onkologii powinien planować rozwój lecznictwa onkologicznego.

Faktem jest — i na to zwraca uwagę kierownictwo ośrodka, że województwo nie nadąża za tempem rozwoju lecznictwa onkologicznego, czego dowodem m. in. jest późne rozpoznawanie chorób nowotworowych i późne kierowanie pacjentów do ośrodka. Im wcześniej fachowcy pomyślą o organizacji placówek lecznictwa onkologicznego w terenie — tym prędzej będziemy mogli mówić o skuteczniejszej walce z chorobami nowotworowymi. Rozwój ośrodka łódzkiego nie rozwiąże problemów, które zostaną w województwie.

Ośrodek łódzki otrzymał w tym roku kobalt i cez.. Ukończono już instalowanie urządzeń, które zawierać będą cenne pierwiastki, skracające okres leczenia i zwiększające jego zakres w stosunku do wielu chorób nowotworowych. Rozruch aparatury przewidziany jest w drugiej połowie lipca.

Zakład telegammaterapii wymaga zasadniczego przestawienia się ośrodka na nowe metody leczenia chorób nowotworowych. Będzie on pod względem posiadanej aparatury największym zakładem w Polsce. Pierwszy okres jego funkcjonowania charakteryzować się będzie zdobywaniem własnych doświadczeń na gruncie rutyny instytutów w Warszawie i Gliwicach.

W przyszłym roku rozpocznie się praktyka terapeutyczna, coraz bardziej rozszerzana przy stopniowym ograniczaniu leczenia konwencjonalnego — promieniami rentgena. Łódź i województwo otrzymają w zasadzie wszystko, czego oczekują od lecznictwa onkologicznego. Można o tym mówić bez wahania, bowiem planuje się jeszcze wprowadzenie do terapii złota radioaktywnego.

Obawiam się jednak, że będziemy mogli mówić o pełnej sprawności — fachowej i organizacyjnej ośrodka, a będziemy znowu kwestionować jego pełną dyspozycyjność usługową jeżeli chodzi o terminy przyjmowania pacjentów. Mamy na myśli bazę łóżkową, ów deficyt miejsc, który powinien być likwidowany już — nie od jutra, a od wczoraj. W programie rozwoju ośrodka mówi się o potrzebie gromadzenia środków na budowę pawilonu o 200 łóżkach. Ten pawilon ma służyć w gruncie rzeczy pacjentom z województwa i zgodnie z perspektywicznym planem rozwoju szpitalnictwa wojewódzkiego został zaakceptowany przez departament inwestycji Ministerstwa Zdrowia. W ramach owych 200 łóżek ma podobno znajdować się 50-miejscowy hotel, dla chorych z województwa leczonych ambulatoryjnie. WRN partycypuje kwotą 20 mln zł w rozbudowie ośrodka. Na razie jest tylko miejsce, czyli lokalizacja, a na dobrą sprawę powinna być już gotowa dokumentacja. Budowa obiektów służby zdrowia ma, niestety, nie najlepszą tradycję — przeciągania się w nieskończoność. W tym wypadku należałoby zrobić wszystko, żeby pawilonowi onkologicznemu zagwarantować zdecydowane pierwszeństwo. Do nowego pawilonu powinni trafić pacjenci bez wyznaczania im „długofalowych" terminów. Władze miasta i województwa winny w tym wypadku zawrzeć nierozerwalny sojusz i w ramach wspólnych interesów wykorzystać wszystkie możliwości zabezpieczenia społecznie uzasadnionego priorytetu szpitalnej inwestycji. Łódź i województwo tworzą całość i większość problemów rozpatruje i rozwiązuje się wspólnie. (Przykładem tego jest porozumienie w sprawie budowy warsztatów ortopedycznych czy bazy remontowej sprzętu medycznego).

Wspolnie także należy pomyśleć o jeszcze jednym dziale lecznictwa onkologicznego — chirurgii. Oczekiwanie na miejsce w oddziale chirurgicznym ośrodka łódzkiego trwa około 2 miesięcy. Być może — blok operacyjny powinien pracować na dwie zmiany i uzyskać więcej etatów, a może nawet — jak projektuje się w przyszłości rozwinąć szereg specjalności chirurgicznych w onkologicznym aspekcie. Prawdopodobnie okaże się to potrzebne i społecznie wskazane jeżeli nie zdarzy się w międzyczasie „cud" medyczny oznaczający rozszyfrowanie przyczyny chorób nowotworowych i znalezienie środka zapobiegawczego. Jeżeli jednak chirurgię ośrodka będziemy obarczać wszystkimi operacyjnymi przypadkami onkologicznymi z Łodzi i województwa, to oczekiwanie na operację nie skróci się, a wydłuży. Stąd wynika wniosek pod adresem lecznictwa wojewódzkiego, żeby chirurgia szpitali powiatowych i miejskich doskonaliła i rozwijała swe umiejętności zabiegowe korzystając z konsultacji, a nawet szkolenia ośrodka onkologicznego.

Całe lecznictwo zresztą musi współdziałać z onkologią poczynając od profilaktyki, aż do radykalnego leczenia.

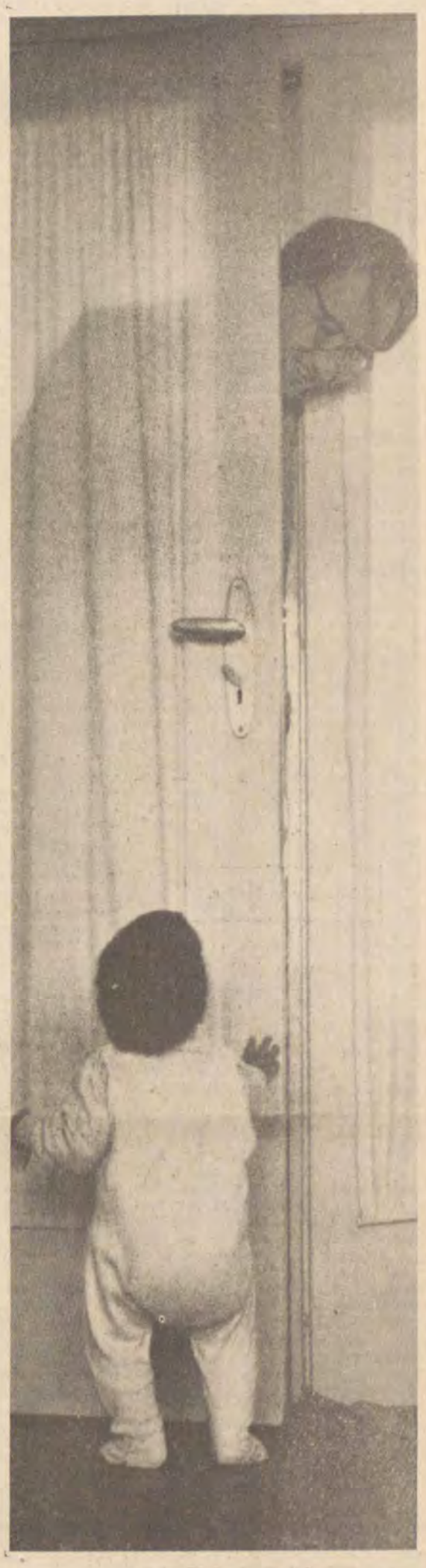

Z woleja

Ogórkowe afery

Aż lżej się człowiekowi robi na duszy, kiedy piłkarze zakończą swoje rozgrywki. Ilość lig i klas w tej dyscyplinie sportu jest nie mała i sprawozdawca, parający się na co dzień sportem, pod koniec sezonu ma już futbolu dosyć. Inna sprawa, że wraz z milionami kibiców na całym świecie po dwóch, trzech tygodniach zaczyna odczuwać „brak zielonej murawy boiska, na której uwijają się barwne sylwetki piłkarzy" — jakby to z pewnością określili koledzy z radia. Pierwsze jednak dni po rozdzieleniu tytułów mistrzowskich i opłakaniu spadkowiczów, stanowią pełne odprężenie po trudzie piłkarskiej wiosny.

Wtedy to można jeszcze uważniej śledzić sportowe wydarzenia w świecie, których ostatnio w tzw. sezonie ogórkowym jest coraz więcej.

Być może już w chwili obecnej trwa wojna między Salwadorem i Hondurasem spowodowana... wydarzeniami w czasie meczów piłkarskich między drużynami narodowymi tych dwóch państw. Spotkania te odbywały się w ramach eliminacji do mistrzostw świata. Otóż w początkach czerwca br. Salwador przegrał z Hondurasem 0 : 1. Rozżaleni kibice Hondurasu w stolicy tego kraju — Tegucigalpa, zaatakowali zespół przeciwnika, ale na szczęście wszystko „rozeszło się po kościach". Rewanż nastąpił tydzień później w stolicy Salwadoru — San Salwador, gdzie gospodarze wygrali 3 : 0. Dziwna jednak była sceneria tego spotkania. Jak twierdzi trener Hondurasu M. Griffin „Po wyjściu na boisko, zamiast flagi Hondurasu, wciągnięto na maszt brudną szmatę, boisko otoczone było żołnierzami, którzy trzymali automaty gotowe do strzału, a po skończeniu meczu drużynę autami pancernymi odwieziono na lotnisko. Przegraliśmy ten mecz, aby ocalić życie..." W chwili, gdy piszę te słowa, w stolicach obu krajów odbywają się wielotysięczne manifestacje ludności, która domaga się wkroczenia na ścieżkę wojenną".

O temperamentach kibiców Ameryki Południowej i Środkowej co pewien czas donosi prasa. Mimo, że każdy prawie stadion otoczony jest tam ponad dwumetrową siatką i głębokim rowem, że setki policjantów czuwają nad spokojnym przebiegiem spotkań, zajść jest coraz więcej, a czasami dochodzi do wielkich tragedii, w których giną dziesiątki ludzi (przykład Lima).

Tego rodzaju pojmowanie sportu jest oczywiście nieporozumieniem, jednak często znajduje naśladowców na całym świecie, a nawet i w... Polsce. Tragedie nie osiągają u nas oczywiście aż tak strasznych rozmiarów, ale przecież jeszcze w zeszłym roku zamknięto boiska w Moszczenicy i Wieruszowie za chuligańskie rozróby.

Wydaje mi się, że lepiej byłoby czerpać dobre wzory z pięknej technicznie południowo-amerykańskiej piłki nożnej, niż robić „mini Meksyk" na widowni w czasie spotkań. Dotyczy to szczególnie małych miasteczek, gdzie szowinizm często dorównuje, choć jeszcze nie przerasta, szowinizmu mieszkańców Hondurasu i Salwadoru.

Druga afera ciągnie się już od dłuższego czasu w środowisku kolarzy zawodowych. Na szesnastym etapie lider wyścigu dookoła Włoch belgijski kolarz Eddy Merckx został zdyskwalifikowany za używanie środków dopingujących, które analiza wykazała w moczu. Rzecz, powiedzmy normalna, kiedyś kolarze zawodowi dosyć często jechali mówiąc językiem kolarskim „na koksie" czyli po użyciu środków dopingujących. Płacili za to zdrowiem, a często i życiem, jak Anglik Simpson, który zmarł na trasie Tour de France, po zażyciu zbyt silnej dawki tych środków. Swiatowe władze kolarskie wydały walkę dopingowi i to całkiem skuteczną, a tu raptem wypadek z Merckxem. Belg przyjął jednak mądrą linię obrony, mówiąc że to przeciwnicy wsypali mu bez jego wiedzy do bidonu środki farmakologiczne. W obronie Belga stanęła sportowa prasa francuska zainteresowana udziałem słynnego Belga w Tour de France i... Międzynarodowa Federacja Kolarstwa Zawodowego zmniejszyła Merckxowi miesięczną dyskwalifikację do dwóch tygodni. Sprawą zajęły się naczelne władze światowego kolarstwa. Czekamy na wynik ich decyzji.

Cała rzecz tkwi jednak w tym, że gloryfikowany przez niektórych naszych kibiców sport zawodowy, to nic innego jak wypaczanie szlachetnej idei sportowej. Bo jakże kolarz ma nie używać dopingu na wyścigu dla zawodowców Tour de France, skoro w ciągu 23 dni winien przejechać bez odpoczynku trasę 4.110 km. A szwindle robione w zawodowym boksie?

MIECZYSŁAW STOLARSKI

ZBIGNIEW NIENACKI

Z dzienników

(4)

Ale dziś mam już nawet na czym siedzieć i przy czym pisać. W Suszu kupiłem składany stolik, maszynkę elektryczną i imbryk. Mamy nawet na czym zagotować sobie herbatę. Stolarzowi dam tylko zaliczkę na okiennice, bo pieniędzy na wszystko już mi nie starczy. A najgorsze — studnia. Ta moja pompa, która stoi na podwórzu, od siedmiu lat już jest nieczynna. Poprzedni właściciel nosił wodę ze studni, która jest o czterysta metrów. Ale ja studnię uruchomię. Muszę. „Ja im pokażę" — krzyczę do P. — Zobaczą co potrafię. Przekonasz się..." Nawet nie wiem, pod czyim adresem wykrzykuję te pogróżki. Może pod adresem P., który wciąż mnie irytuje? „Co, znasz się na pompach?" — szydzi. Nie, nie mam pojęcia jak jest zbudowana wiejska pompa. Ale tłumaczę P: „To, co jeden człowiek zbudował, a drugi zepsuł, to trzeci potrafi naprawić". Dyskusja o pompie trwała dwie godziny. Nienawidzę P., który poszedł na spacer do wsi i wrócił z wiadomością, że w J. znajduje się kilkanaście pomp, ale z nich tylko pięć jest czynnych. „Nie będziesz miał wody" — powiada tryumfująco.

16 czerwca 1967 r.

Zastanawiam się, jaki jest mój stosunek do P. Ile to ludzi zwracało mi już uwagę, że P. to człowiek o przerażająco małym życiu intelektualnym i że moja przyjaźń z nim stawia mnie w nie najlepszym świetle, w gruncie rzeczy kompromituje. Zresztą, kompromituje mnie i w dosłownym sensie. P. opowiada o mnie niestworzone historie, powołując się na mnie załatwić swoje nie zawsze czyste interesy, jeśli chce komuś dokuczyć, mówi, co mu ślina na język przyniesie, ale twierdzi, że to właśnie ja tak mówię, wkłada mi w usta poglądy i oceny, których nie mam. Plotkuje i donosi mi o znajomych swój często fałszywy o nich sąd. Są dni, w których nienawidzę P. Zdaję sobie sprawę, że P. w gruncie rzeczy po prostu uważa, że jestem człowiekiem, któremu się udało, podczas, gdy jemu się nie udało, może nawet z winy takich jak ja. I w jego pojęciu jest nawet czymś naturalnym, że on żyje ze mnie w dosłownym i przenośnym sensie. Tak, prawdę mówiąc, wszystko w P. mnie razi. Jego poglądy na świat, jego maleńki sprycik, którego udaje, że nie dostrzegam. Przenikam go w każdej sekundzie i potrafię na dziesięć dni naprzód powiedzieć to, co on powie w konkretnej sytuacji. Zanim pomyśli, ja już wiem co on pomyśli. Zanim poczuje, ja już wiem, co on poczuje. Gdyby chociaż był Piętaszkiem, którego mógłbym nauczyć dziesięciorga przykazań. Ale nie. On jest w ogóle nieprzemakalny. Gdy brakuje mu już argumentów, aby odparować jakieś moje zarzuty, powołuje się na swoje siwe włosy. „Jeśli ktoś na starość ma tylko argument swoich siwych włosów" — odpowiadam — to znaczy, że zupełnie przegrał życie, niczego w nim nie dokonał". „Ty też będziesz kiedyś miał siwe włosy" — mówi. „Nieprawda" — krzyczę. — „W mojej rodzinie nie było siwków, bo wszyscy jesteśmy blondyni". I jak tu dyskutować? I tak jest zawsze. Ja o gwiazdach, a on o lampie, bo też świeci. Wiem to wszystko, irytuję się, a przecież ciągle go ze sobą wożę z kąta w kąt Polski, z miejsca na miejsce.

Już wiem. Jestem masochistą. To warzystwo P. upokarza mnie, a ja w tym upokorzeniu znajduję zadowolenie. A może to po prostu litość? Czy nie cechowała mnie zawsze słabość dla wszelkiego rodzaju „nieudaczników"? Co się stanie z P., jeśli go porzucę? Przecież on żyje tylko poprzez mnie i jakby się ze mną nieustannie identyfikuje. Nigdy nie powie, „ja", a zawsze „my". Ja od dawna nie zbieram i rzadko czytam, co o mnie piszą. On wszystko wycina i nosi przy sobie w teczce. Ale jeśli ktoś napisze o mnie coś złego, P. ma ciche zadowolenie. Ostatnio głosił: „Kupiliśmy ze Zbigniewem gospodarstwo na Mazurach. Zaczniemy tam nowe życie. Będziemy zbierać materiały do nowej książki".

Ile to razy prosiłem P: „Masz tu kartkę papieru i napisz szczerze, co o mnie myślisz". Bo w gruncie rzeczy ciekawi mnie stosunek P. do mnie. Ale on nie napisze, a ja i tak wiem, co on myśli i czuje. Często mówi do swoich znajomych: „Zbigniewa wszyscy nienawidzą. Tylko ja go lubię". A w domyśle kryje się: ile ja przez to cierpię i jak się poświęcam, bo go lubię. Najstraszniejsze jednak jest to, że mnie zupełnie nie rozumie. Gdy mu tłumaczyłem, że chcę kupić dom i małe gospodarstwo rolne, ponieważ jestem stosunkowo młody, a wyeksploatowałem swoją biografię, nie chcę się powtarzać i muszę zdobyć nowe doświadczenia do pisania, P. kiwał głową ze zrozumieniem. Ale dziś rano rzekł: „Ty masz głowę, Zbigniew. Domy idą w cenie. Oporządzisz ten dom i sprzedasz za pół miliona". „Nie sprzedam" — wołam. — Po mojej śmierci niech to weźmie państwo i zrobi tu świetlicę i bibliotekę gromadzką". P. tylko chytrze mruży oko. Bo P. sądzi, że prowadzę z nim jakąś podwójną grę, tylko, że on nie da się przechytrzyć. On wie swoje.

Albo inny przykład. Pokazałem P. zrobioną przeze mnie madonnę „Dobra jest" — stwierdził. — „Kondek wziąłby za taką co najmniej trzy tysiące". Innymi słowy, jego zdaniem, ja nie rzeźbiłem dlatego, że to sprawiało mi przyjemność, ale dlatego, że żal mi było wydać trzy tysiące złotych.

Ale cały P. obnażył się dopiero dzisiaj. Zabrałem go na obchód swego domu i gospodarstwa. Opowiadałem mu: „Umeblowanie zrobię sam, rozumiesz, własnymi rękami. Kupię desek i spróbuję zrobić stoły, ławy, szafy". P. kiwał głową ze zrozumieniem: „Masz rację. To w gruncie rzeczy nic trudnego. Ja ci zresztą w tym pomogę. Po co mamy wydawać pieniądze na umeblowanie, skoro możemy zrobić sami, czy nie tak?"

Złapałem się za głowę i wybiegłem na podwórko. Potem z drugiej strony mojego domu odkryłem wysoko pod dachem wykutą datę budowy domu. Jest to rok mojego urodzenia. Wydaje mi się to symboliczne. Ten dom ma tyle lat, co i ja. Chwila zadumy. P. stwierdza: „Ciekawe, co robi Niemiec, który budował ten dom. Nie boisz się, że on tu zechce wrócić? A mówiłem ci, że trzeba było jednak budować się nad Wartą za Wieluniem, tak jak kiedyś planowałeś".

Czterogodzinna rozmowa o patriotyzmie. Krzyczę, wrzeszczę, miotam się z wściekłości, bo przecież tłumaczyłem P., że z pięćdziesięciu ofert, jakie otrzymałem po swoich ogłoszeniach w gazetach, wybrałem ten dom i to miejsce właśnie ze względów patriotycznych. „Proszę bardzo, niech przyjeżdża ten Niemiec, niech oni tu wszyscy przyjeżdżają, tylko niech najpierw się urządzę. Ja zrobię z tego cudo, rozumiesz? Niech patrzą jak tu żyje polski pisarz. Tak powinni zrobić i inni. Chłop, rolnik, to dla nich coś anonimowego. Może być, może go tu nie być. Ale powiadam ci, że z historii tej ziemi nikt nie wykreśli już faktu, że ja tu mieszkałem, jeśli okaże się, że byłem dobrym pisarzem, Tam jest dla mnie Polska, gdzie mieszka naród, którego się czuje cząstkę. Tu jest nowy dom" — krzyczę.

Porzuciłem P. i poszedłem w las. Musiałem przemyśleć to, co mnie od pewnego czasu bardzo trapiło.

Czeka mnie zetknięcie się z zupełnie nowym środowiskiem literackim i kulturalnym. I to bardzo specyficznym. Najpoważniejszy trzon w olsztyńskim środowisku literackim tworzą pisarze, którzy są jak by żywymi pomnikami tej ziemi; ich biografie to kawał historii Warmii i Mazur. Zientara — Malewska, Władysław Gębik, Karol Małłek, Alojzy Śliwa. O każdym z tych ludzi można by napisać wspaniałą powieść. Dr Władysław Gębik był przed wojną dyrektorem jedynego polskiego gimnazjum na terenie tzw. Prus Wschodnich. Gdy wybuchła wojna, poszedł z uczniami do obozu koncentracyjnego. Jest w tym coś z gestu Korczaka, ten człowiek budzi we mnie ogromny szacunek. Tak samo inni. Przez całe lata walczyli o polskość Warmii i Mazur, krzewili tę polskość i teraz stali się jej symbolem. Karol Małłek ostrzegał mnie: „Żeby zrozumieć tę ziemię, trzeba było z nią cierpieć". A ja przecież nie cierpiałem, przybywam tu z zupełnie innego regionu. Oni tu mówią o sobie: „My wszyscy jesteśmy z Kajki". A ja? Ja chyba jestem trochę z Caldwella, trochę z innych, może z Prusa? Oni mówią: „Warmia i Mazury", a ja nawet nie bardzo wiem, czym się różni Warmia od Mazur i jakie są granice tych regionów. A co najgorsze, nie czuję w sobie ochoty, aby tę sprawę zgłębiać.

Na ile zdążyłem się zorientować, w tej wsi, gdzie będę mieszkał, nie ma ani jednego autochtona. Wszyscy przyjechali tutaj z najróżniejszych krańców Polski: z Białostoczyzny, z Rzeszowszczyzny, z Krakowskiego, ze Śląska, mój sąsiad leśniczy pochodzi z Łódzkiego spod Kamieńska. Przed laty starły się tutaj najróżniejsze wpływy kulturalne, najróżniejsze obyczaje, wyrosło nowe pokolenie. Wczoraj byłem z P. w Klubie Młodego Rolnika. Co wieczór czynny jest tam telewizor. Dziewczęta wiejskie siedzą przed telewizorem w mini spódniczkach, chłopcy z długimi włosami jak w łódzkiej czy warszawskiej kawiarni. To, co tydzień temu pokazał paryski dom mody i przekazała kronika telewizyjna, już dziś dziewczyna na wsi próbuje sama powtórzyć i kroi sobie nową sukienkę. I tak samo chyba dzieje się z kulturą. A tu nie tak dawno podobno przyjechał pisarz i mówił do młodzieży, że są z Kajki i Lengowskiego. Podobno słuchali go niezbyt uważnie. Czy trafi do nich? Czy jest sens czynić z nich Warmiaków albo Mazurów? A może oni są właśnie ze mnie, wychowywali się na moich młodzieżowych książkach, pisanych w Łodzi, w Ciechocinku, w Zakopanem, a wydawanych w Warszawie. Czy to nieustanne wmawianie im, że są kimś innym niż ci z pozostałej części Polski, nie budzi w nich podświadomej irytacji i trochę oporu. Oczywiście, zdają sobie sprawę, że są na tych ziemiach całe okolice, gdzie żyją potomkowie Warmiaków i Mazurów, ale znowu całe połacie tej ziemi zamieszkują ludzie z najróżniejszych stron Polski. A o tym jakby się zapomniało.

Jest to problem. Bo wydaje się oczywiste, że z jednej strony należy nieustannie przypominać, że stąpamy tu po ziemi, na której tworzyli Kajka i Lengowski, kultywować tradycje kulturowe Warmii i Mazur, przypominać całą przeszłość. Ale kto wskaże, gdzie jest ta granica, w której tego rodzaju kultywowanie tradycji nie staje się jakimś swoiście pojętym separatyzmem? Bo z drugiej strony jest tu potrzebny odwrotny proces, scalający tę ziemię z całą pozostałą częścią Polski, tworząc z nią jednolity kulturowo organizm. To ciągłe mówienie o przeszłości, o specyficznej, innej przeszłości kulturowej, w konsekwencji sprawia wrażenie, że człowiek stąpa tu po ziemi polskiej, ale trochę jakby inaczej.

WŁODZIMIERZ MENTCEL — „Płonące kolano".

Fot. J. Książek

Dalszy ciąg na str. 9

URLOPY CZYLI KROK PIERWSZY DO ZRÓWNANIA

Dalszy ciąg ze str. 1

samodzielni pracownicy naukowi i adiunkci, pracujący w szkołach wyższych i instytutach naukowych.

◆ Czas wprowadzania ustawy w życie obliczono na dwa lata. Okres przejściowy dotyczy głównie tej grupy pracowników, którzy według obowiązujących do tej pory zasad mieli urlop mniejszy, a ustawa przyznaje im urlop w większym wymiarze. W tym roku otrzymują oni według tymczasowego wymiaru określonego w artykule 28 ustawy.

◆ Ustawa wymaga wielu przepisów wykonawczych.

* * *

Ustawa zgodnie z intencją jej autorów stanowi pierwszy krok na drodze wyrównania społecznych różnic. Jest konieczna i pożyteczna, choć przyjęto ją z mieszanymi uczuciami. Jednych zadowoliła, bo dała im większe prawo do wypoczynku, innym przyczyniła się do pomniejszenia urlopu, co nie zostało przyjęte z entuzjazmem, inni jeszcze liczyli na więcej niż otrzymali. Najgorzej jednak, że wynikły pierwsze trudności interpretacyjne.

Pierwszym powodem licznych nieporozumień była sprawa ciągłości pracy. U wielu zrodziło się pytanie, czy staż pracy, według którego oblicza się wymiar urlopu, należy obliczać według zasad przyjętych w ustawie, czy według zasad do tej pory obowiązujących. Artykuł 29 ustawy problem ten rozstrzyga jednoznacznie na korzyść zasad do tej pory obowiązujących.

Gorzej przedstawia się sprawa absolwentów wszelkiego typu szkół zaocznych. Oto jeden z nich — inż. Kazimierz Z. Pracuje w fabryce 8 lat. W tym czasie ukończył studia na Politechnice Łódzkiej. Zgodnie z zasadami określonymi w ustawie za ukończone studia przysługuje mu „premia" 8 lat. Dyplom zrobił przed dwoma laty, gdyby więc do owych 8 lat dodać 2, jakie minęły od ukończenia studiów zaocznych, to w sumie miałby prawo do 26 dni urlopu. Tymczasem ustawa głosi, że **„jeżeli pracownik pobierał nauki w czasie zatrudnienia, do okresu pracy, od którego zależy wymiar urlopu, wlicza się bądź okres pracy, bądź okres nauki, zależnie od tego, który z nich jest dłuższy".** Inż. Kazimierz Z. ma do wyboru — albo 8 lat „premii", albo 8 lat stażu.

Tego typu pytań i wątpliwości jest więcej.

* * *

Co robić z wątpliwościami?

Najlepszym sposobem na ich rozwiązanie jest pytać. Pytać tak długo, aż wszystko, co niejasne i wątpliwe zniknie. Tę słuszną zasadę do brze jest stosować zarówno w życiu prywatnym, politycznym jak i społecznym. Czasem powstaje tylko wątpliwość wtórna — kogo pytać? W sprawie urlopów wątpliwość ta znalazła pełne potwierdzenie. Wydaje się bowiem, że do tego trudnego problemu w wielu przypadkach podeszło się zbyt pochopnie.

Szymon R. otrzymał informację, że zaplanowano mu urlop na lipiec. Wiele ludzi podziękowałoby i poszłoby do domu z radosną nowiną. Szymon R. ucieszył się, ale radość trwała krótko. W kilka dni po pierwszej wiadomości przyszła druga. Tym razem nie z fabryki, ale od rodziny, która Szymona R. zaprosiła na zagraniczny wojaż, ale pod warunkiem, że będzie to w sierpniu.

Szymon R. poszedł do wydziału kadr z prośbą o przesunięcie urlopu. W kadrach powiedziano, że plan urlopów rzecz święta i nie ma prawa do prośby o jego zmianę.

Czy rzeczywiście tak jest?

Nie! Artykuł 12 ustawy stwierdza: **„Przesunięcie terminu urlopu może nastąpić na wniosek pracownika umotywowany ważnymi względami".** Zaproszenie do odwiedzin rodziny mieszkającej poza granicami kraju jest chyba ważnym powodem.

Przykład Szymona R. i wielu innych dowodzi, że nie zrobiono wszystkiego przy popularyzacji ustawy o urlopach. W niektórych przypadkach nie chodzi już o problem interpretacji. Chodzi po prostu o rzetelną informację. W dużych zakładach są powielacze, ksero grafy, na których można było po prostu odbić tekst ustawy opublikowany w nr 12 „Dziennika Ustaw" i wywiesić go w najbardziej uczęszczanych miejscach. W miejszych, gdzie być może nie ma powielacza, można było przepisać tekst ustawy na maszynie w kilku egzemplarzach. W każdym razie, w każdej radzie zakładowej powinien on być do wglądu zainteresowanych, a zainteresowani są przecież wszyscy.

* * *

Zupełnie inaczej wygląda sprawa z interpretacją niektórych postanowień ustawy. Tutaj nie zatroszczono się o przeszkolenie instruktorów, którzy mogliby służyć radą i pomocą przy rozstrzyganiu wielu spraw niejasnych i skomplikowanych, jakich nie szczędzi nikomu życie. Zabrakło takich instruktorów i wiele działów kadr musiało borykać się z kłopotami we własnym zakresie, szukając trochę po omacku pomocy i rady.

Najgorzej jednak, że do końca nie wyjaśniono społecznego sensu ustawy. Nie wszyscy pojęli jej zasadniczy sens — to, że jest ona zaczątkiem całego szeregu działań, które pozwolą na prawidłowy rozwój społeczeństwa, na kształtowanie się jego nowoczesnego charakteru, na to, że stanowi to zaczątek procesów, które doprowadzą do zaniku tradycyjnych wyobrażeń i podziałów. Ustawa o urlopach stanowi krok pierwszy do zrównania ludzi pracy. Każda praca jest jednakowo ważna i potrzebna. I to jest fakt, o którym nie wolno zapominać.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

TERESA WOJCIECHOWSKA

OPOLE 69 CZYM CHATA BOGATA

Ciężka jest dola sprawozdawcy, który wraca z piosenkarskiego festiwalu. Wszyscy pytają jak tam było, dlaczego ta duża czarna tak się wiła i krzyczała, dlaczego ten z brodą tak cierpiał śpiewając, a ten w okularach tak okropnie sepleni. I dlaczego wszystko tak się podobało publiczności. Na to jedno pytanie umiem odpowiedzieć. Kamerzyści telewizyjni konsekwentnie pokazywali siedzącą na widowni grupę wykonawców, którzy występy kolegów przyjmowali w sposób dość figlarny, z przekory i wrodzonego poczucia humoru oklaskując jednakowo entuzjastycznie najlepszych i najgorszych. Natomiast reakcje publiczności opolskiej, która jest wyrobionym już krytykiem, były bardzo prawidłowe, nie dotarło to jednak do uszu i oczu telewidzów.

Jak co roku — VII Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu przedstawił plon całorocznych przygotowań — giełd piosenek, konkursów federacji jazzowej — przesiane przez sito eliminacji najlepsze zespoły, solistów, piosenki. Jednym słowem — czym polska piosenkarska chata bogata. Bogata, oj bogata ilościowo. Mnożą się w postępie geometrycznym, rozmnażają przez pączkowanie wokalno-instrumentalne zespoły, zespoliki, zespoliczki. Kiedy jeden się rozleci, na jego miejsce powstaje pięć nowych, założonych przez pięciu skłóconych członków tamtego. Z jakością jest nieco gorzej. Na palcach jednej ręki policzyć dziś można te wartościowe, ambitne, rokujące jakieś nadzieje rozwoju artystycznego. Najlepszym, najkulturalniejszym chyba są dziś „Czerwone Gitary".

Jest to tak, jak powiedział Wojciech Młynarski podczas swego znakomitego recitalu: muzyka lansowana przez zespoły młodzieżowe może być dobra, albo zła, może być autentyczną muzyką, albo oszustwem, wszystko zależy od poziomu muzycznego, od kultury autorów i wykonawców. Rzecz więc w tym, by na opolską estradę dostawały się zespoły najciekawsze, najbardziej wartościowe. Wydaje się, że w tym roku zastosowano wobec zespołów instrumentalno-wokalnych taryfę zbyt ulgową, że było ich zbyt wiele. Ta wzrastająca liczba zespołów w stosunku do wykonawców solistów śpiewających przy akompaniamencie orkiestry zmienia powoli charakter Festiwalu Opolskiego. Stąd też zapewne zjawisko takie jak coraz mniejsza ilość nazwisk znanych i renomowanych wykonawców piosenki rozrywkowej. Pozostali tylko najwierniejsi: Joanna Rawik, Irena Santor, Halina Kunicka, Wojciech Młynarski i kilkoro innych. Opole staje się bardziej festiwalem debiutów piosenkarzy niż piosenek. Dzieje się to na niekorzyść piosenki, wiadomo przecież, jak wiele zależy od wykonania. Nie będę tu już przypominać dawnej historii polskiej piosenki „Jak to dziewczyna", która dopiero po sopockim wykonaniu przez zagraniczną piosenkarkę stała się u nas przebojem, tegoroczne Opole dostarczyło też dość przykładów. Wymienię tylko dwa, najjaskrawsze. Piosenka „Ptakom podobni" Orłowa — Ścisłowskiego wykonana przez Stenię Kozłowską był ckliwa i tania, w wykonaniu Stanisławy Celińskiej okazała się piękną, dramatyczną, pełną wymowy pozycją. „Romantyczność" Popkiewicza z muzyką według Polonezu As-dur Chopina, zaśpiewana przez Partitę, pokazała wszystkie słabości tekstu, natomiast w interpretacji Joanny Rawik nabrała dramatyzmu, poloru. Myślę więc, że warto angażować do Festiwalu Opolskiego znanych i dobrych wykonawców zanim jeszcze zaplanują wyjazdy zagraniczne i związą się terminem z różnymi estradami.

Tegoroczny festiwal, odbywający się w czasie obchodów 25-lecia Polski Ludowej, miał być również podsumowanem dorobku piosenkarskiego na przestrzeni tych lat, okazją do chwili wspomnień i przypomnień. Tak właśnie był pomyślany koncert inauguracyjny „Na prawo most, na lewo most" — przegląd przebojów z ponad dwudziestu lat. Ten koncert dał niejeden powód do refleksji. Słuchaliśmy starych piosenek w wykonaniu piosenkarzy młodych, a czasem w wykonaniu tych, którzy je przed laty lansowali. W ciągu tych lat jedni odeszli już z estrady, inni dorośli, jeszcze inni, nieliczni, ciągle śpiewają. Nie mówiąc już o Mieczysławie Foggu czy Lidii Wysockiej, którzy występują dłużej niż owo ćwierć wiecze, a śpiewają wciąż dobrze, z przyjemnością słucha się jeszcze Marii Koterbskiej, jednej z pierwszych powojennych piosenkarek, czy Reny Rolskiej, od lat cieszą się zasłużoną popularnością Sława Przybylska, Irena Santor. Ich głosy brzmią wciąż tak samo świeżo jak przed dziesięciu czy kilkunastu laty, ich wykonawstwo jest coraz precyzyjniejsze. Czy za dziesięć, piętnaście lat będzie można z taką samą przyjemnością słuchać piosenkarek obecnego najmłodszego pokolenia? Jakże niewiele z nich traktuje swój zawód poważnie, uznaje konieczność uczenia się, doskonalenia warsztatu wykonawczego. Czy za dziesięć lat będzie można słuchać Urszuli Sipińskiej, która już dziś śpiewa gorzej niż dwa lata temu, Teresy Tutinas, która popadła w trudną do przyjęcia manierę, czy całej plejady piosenkarek beatowych — gwiazd dwóch, trzech sezonów, zdzierających głosy na krzyku? Ale nie martwmy się o nich, każdy jest kowalem swojego głosu, w ostatecznym rachunku pozostaną na estradzie ci, którzy są tego warci.

Jubileuszowa, odświętna nieco atmosfera jubileuszu widoczna, a raczej słyszalna była i na innych koncertach.

Na koncercie „Każdy kiedyś zaczynał..." nie transmitowanym przez telewizję (w tym roku wystąpiło ponad 40 solistów — debiutantów) odnotowaliśmy kilka ciekawych głosów, zapewne było ich więcej, zabłysną może za rok czy dwa, na pierwszym opolskim wielu padło ofiarą tremy i słabej jeszcze techniki. Do bardziej interesujących należeli: Zofia Kania, studentka z Gliwic, Maciej Pietrzyk, student warszawskiej ASP, Wojciech Popkiewicz — lepszy jednak jako autor tekstów i kompozytor niż jako wykonawca, ale przecież Młynarski też nam się na początku jako wykonawca nie podobał. Debiut 15-letniej Danuty Sobik z woj. katowickiego odbył się na mokro. Najpierw na widowni popłakała się mamusia, potem na estradzie popłakała się Danusia, a potem łzy roniła konferansjerka, pani Falska. W gruncie rzeczy powodów do płaczu nie było, ani z radości, ani z rozpaczy. Danusia może śpiewać, ale nie musi, na razie reprezentuje bardzo przeciętny poziom i chyba lepiej by było, żeby najpierw skończyła szkołę, a potem wzięła się za sztukę.

Prawdziwą natomiast rewelacją była opolska debiutantka, która wystąpiła na koncercie „Premiery — Opole 69" — Stanisława Celińska, absolwentka warszawskiej szkoły teatralnej, która piękny głos umiała połączyć z doskonałą, oszczędną, a jednocześnie bardzo dramatyczną interpretacją. Jeśli podzieli czas między scenę a estradę i mikrofon, to niewątpliwie jej specjalność stanowić będzie ambitna piosenka literacka. Jeśli zechce poświęcić się piosenkarstwu, to stanie w rzędzie naszych czołowych wykonawczyń. W sumie jednak przeważały debiuty mało ciekawe, wielu wykonawców, zanim dotarło do Opola, występowało w różnych zespołach, i ma już w „dorobku" pewną manierę i łatwe sukcesy, które nigdy nie zachęcają ani do wysiłku ani do pogłębiania umiejętności.

Łódzka reprezentacja festiwalowa była w tym roku dość liczna, szczególnie wśród debiutantów. Niezły poziom zaprezentowali: Mirosław Milejski i Jerzy Tworkiewicz, a także Maria Jarzębska z Pabianic, bardzo słabiutko i nieciekawie — Ala Ekształn, laureatka audycji „Proszę dzwonić", rozczarowanie sprawił też duet studencki: Jerzy Braszka — Jerzy Matałowski, którzy refleksyjną raczej i liryczną piosenkę Spyrki — Markowej „Za duże buty" zaśpiewali wesoło, radośnie, z pełnym niezrozumieniem tekstu. Poza tym byli: Zofia Kamińska i Ewa Sieżanka, a z renomowanych nazwisk: Krzysztof Cwynar i Tadeusz Woźniakowski. Ten ostatni w niepokojących rozmiarami zabiegach o przychylność publiczności naśladował ni to Połomskiego ni to Karin Stanek. Szkoda, bo Woźniakowskiego na pewno stać na własny styl wykonawczy, który, kokietując publiczność tanimi efektami, nie zdołał go sobie wypracować. Łódzki z pochodzenia zespół „No To Co" z powodu wyjazdu za granicę wystąpił tylko w pierwszym koncercie, ale zdążył pokazać, że od ubiegłego roku nie poczynił większych postępów.

* ★ *

Podobało się mniej czy więcej, ale telewidzowie mogą być pewni, że lepsza cząstka im przypadła. Bo choć nie oglądali pięknie jak zwykle przystrojonego Opola, choć nie uczestniczyli w tym piosenkowym święcie, to jednak odbiór mieli lepszy. Bo, jak nas poinformował przedstawiciel biura organizacyjnego festiwalu: „Ważniejsze są miliony telewidzów i radiosłuchaczy, niż pięć tysięcy na widowni w amfiteatrze". Więc cała aparatura nagłaśniająca nastawiona była na transmisje, wozy transmisyjne regulowały dźwięk, wyciszały zespoły czy poszczególne instrumenty, wydobywały na pierwszy plan solistów. Amfiteatralna widownia skazana była na inwencję wykonawców, co było szczególnie przykre, gdy do głosu dochodziły niektóre zespoły instrumentalno-wokalne. Orkiestra Radia i Telewizji prowadzona przez Bogusława Klimczuka i Stefana Rachonia akompaniowała solistom bez zarzutu, czysto, kulturalnie i dyskretnie, czego nie można powiedzieć o większości zespołów młodzieżowych, które z całą satysfakcją zagłuszają się wzajemnie, a szczególnie solistów. Z wielkim uznaniem trzeba powiedzieć o pracy kierownika muzycznego festiwalu — Leszka Bogdanowicza, który był duszą prób koncertowych, troszczył się o całość i wszystkie szczegóły wykonania i robił co mógł, aby ustawić właściwie brzmienie zespołów. Na próbie wyciszali posłusznie niektóre instrumenty, ale na koncercie robili znów swoje.

Czy będą z tegorocznego Opola przeboje? Na pewno nie tyle co z ubiegłego, skoro zeszłoroczne zasiliły jeszcze tegoroczny festiwal, a nawet zdobyły nagrody, jak „Biały krzyż" Klenczona — Kondratowicza, w wykonaniu „Czerwonych Gitar" (gdybyż wszystkie zespoły młodzieżowe miały taką kulturę muzyczną i wyglądały tak schludnie!) i „Medytacje wiejskiego listonosza" Zielińskiego — Moczulskiego w wykonaniu „Skaldów" (gdybyż nie robili oni tyle bałasu, a śpiewający brat Zieliński popracował nad dykcją!). Ale wydaje mi się, że mają szansę zostać przebojami: „Gdzie szumiące topole" Figla — Kondratowicza, „Nie warto było" Rzeczkowskiej — Rybałtowskiej, „Mówiły mu" Rembowskiego — Bianusza. Śliczna „Ballada o violi da gamba" Knittla — Zajączkowskiej jest, niestety, na przebój za trudna.

* ★ *

Nie będę denerwować czytelników zachwytami nad nie transmitowanym recitalem Wojciecha Młynarskiego. To trzeba usłyszeć, zobaczyć i podziwiać rozwój piosenkarza - poety - satyryka zaangażowanego, pasjonującego się wszystkimi przejawami współczesnego życia. Próbkę działalności kabaretu „Silna grupa pod wezwaniem" K. Grześkowiaka, T. Chyły, J. Nieżychowskiego i A. Zakrzewskiego oglądaliśmy na małym ekranie. Reprezentuje on humor pełen wdzięku, trochę naiwny, trochę absurdalny — znakomita zabawa dla amatorów tego gatunku. Niestety, reszta popisów kabaretów studenckich jak i transmitowany maraton kabaretowy, wypadły dość smętnie. Stąd wniosek: niech się młodzież studencka bawi w kabaret, jej dobre prawo, ale we własnym gronie, wśród życzliwych kolegów. Przed nieżyczliwymi obcymi powinna ich bronić komisja artystyczna kwalifikująca programy na imprezy towarzyszące festiwalowi. Żeby nie potrzebowali potem śpiewać sobie „Smutnej ballady o niewypale".

Śpiewa Irena Santor.
Fot. A. Dębowski

BRATANKOM SZEROKIEJ DROGI

Dalszy ciąg ze str. 1

nio trenowanym robią, być może, ważną w tej chwili minę i dają do zrozumienia, że felietonista żółtodziób, sam nie wie, co pisze, bo gdyby wiedział, to by poszukał źródeł spadku turystyki w tych wąskich a mocno zatłoczonych uliczkach przy moście Elżbiety nad Dunajem.

Jeszcze parę lat temu te zaułki były dla Polaków rodzajem handlowego Eldorado.

Już się urwało.

Urwało się dlatego, że jest zakaz. Złotówek już się na forinty w Budapeszcie nie wymienia. Jest zakaz, więc turystom znad Wisły do tego stopnia zrzedły miny, że wolą siedzieć w domu. Czy naprawdę? Czy istotnie Polak nic tylko goni po sklepach za nylonową bluzeczką, niemnącą koszulą i parą helanek? Przyznam, że cała ta kwestia wybitnie mnie w Budapeszcie zainteresowała i jej zbadaniu poświęciłem sporo wolnego czasu. Prowadziłem na ten temat rozmowy nie tylko w „Ibuszu", ale też w domach towarowych, sklepach, ogromnej hali targowej przy moście Szabadsag i w gronie znajomych radiowców węgierskich.

Otwierano ze zdumienia oczy.

— Ależ człowieku, któż wymyślił te bajki? Nikt tu nigdy nie brał Polakom za złe, ani się na nich nie zżymał, że kupują w naszych sklepach bluzki i sweterki. Czy jest gdzie na świecie turysta, który nie kupuje niczego? Polacy nie są ani lepsi ani gorsi od innych, są tacy sami. Czesi kupują w Budapeszcie salami i to tonami, Rumuni gonią za pudrem, wodą kolońską i kremem, Austriacy pakują do torby tyle flaszek tokaju ile tylko mogą zmieścić, Bułgarzy najchętniej by ogołocili całe Węgry ze wszystkich dywanów, Rosjanie nic tylko szukają futer. Turysta też ma swoje prawa. Nikt mu tego nie wypomina. A zresztą czy sami Węgrzy są lepsi? Przecież kupujemy w Warszawie tysiące metrów elany i nikt nam tego nie wzbrania. Nie przesadzajmy. Nawet bogaci Amerykanie aniołkami nie są. Dolarów im wprawdzie nie brakuje, ale też kalkulują. Jak tylko postawią nogę na węgierskiej ziemi, tak w te pędy walą do dentysty, żeby wstawić sobie sztuczne zęby albo wstawić zaraz całą sztuczną szczękę. U nas kosztuje to grosze a w Stanach kosztuje majątek, według oczywiście naszych wyobrażeń. To nie prawda, że narzekaliśmy na Polaków. Kto puszcza takie bzdury?

Nie wiem, choć przypuszczam, że czynią tak nadgorliwcy wśród towarzyszy po piórze.

A co z bratankami?

Nieźle, nawet zupełnie dobrze. Po okresie stagnacji turystyka między Warszawą a Budapesztem ma znowu ulec znacznemu ożywieniu. Oby, oby... przodkowie wcale się nie mylili. Wywąchali bez pudła niejedną cechę, która po dziś dzień łączy Polaka i Węgra ową niewidzialną, ale trwałą nicią szczerej przyjaźni i wzajemnej sympatii. Węgier lubi jak Polak solidnie zjeść i dobrze popić.

Nie zauważyłem również, by którykolwiek kelner w Budapeszcie był sztywny jak drut i głuchy jak pień.

Powiem więcej. Budapeszt wrócił mi wiarę, którą powoli już zacząłem tracić. Przywrócił wiarę, że uspołeczniona gastronomia i uspołeczniony handel mogą działać gładko i bez żadnych dosłownie zgrzytów. Tamtejsze sklepy do złudzenia przypominają wielkie lokale handlowe nad Sekwaną. I tu i tam nie brakuje niczego. Chcesz stereofoniczne radio, albo stereofoniczny tranzystor? Proszę bardzo... Chcesz „Napoleona"? Doskonale, ile butelek panu podać. Chcesz angielskie tweedy, wiedeńskie bluzki, francuskie maszynki do golenia? Proszę, proszę, wszystko jest do twej dyspozycji i to nie za dolary, tylko za forinty. O, właśnie. Jak oni to robią? Nie moja sprawa. Specem nie jestem. Wiem, że robią to znakomicie, o całe niebo lepiej niż w Warszawie, Moskwie, Berlinie i w Pradze.

Kiedyś Węgra i Polaka łączyła szabla, szklanka i szarża ułańska. Czyż słowo husaria nie wywodzi się z węgierskiego „usaria"?

Kult konia po dziś pielęgnowany jest na węgierskiej puszcie, jak już nigdzie na tym świecie. Te husarskie tradycje znajdują jak zresztą w Polsce dość zaskakujący rezonans. Jest nim obłędny niemal pęd do motoryzacji, więc też do konia, tyle że na czterech oponach. Pogoń za własnym autem bije na Węgrzech zgoła nasze, nadwiślańskie rekordy.

Rzecz badałem u samego źródła, w przedsiębiorstwie „Merkur" w Budapeszcie, które tam spełnia rolę naszego „Motozbytu".

Gmach jest olbrzymem. To właśnie dawne koszary Marii Teresy przebudowane jak niektóre hale fabryczne w mieście Łodzi na takie sobie biura. Do „Merkurego" przychodzą zwykli ludzie bez wielkich nazwisk i dużych koligacji z chwalebnym, wielce też ambitnym zamiarem sprawienia sobie samochodu.

W dyrekcji przyjęto mnie po węgiersku, więc uśmiechem i filiżanką mocnej, czarnej kawy.

— Widzi pan — tłumaczono — kłopotów mnóstwo, bo interesantów krocie. W ubiegłym roku mieliśmy 35 tysiące zgłoszeń na auta, a mogliśmy sprzedać tylko 15 tysięcy. Więcej nie było na składzie, choć importujemy samochody z Zachodu i Wschodu, także z Polski. Niestety, kolejka raczej się wydłuża.

— Jak długo trzeba czekać na auto po wpłaceniu określonej umową sumy?

— Sprawę doprowadzamy do końca mniej więcej w ciągu dwóch lat — zakonkludowano w dyrekcji.

Potem dowiedziałem się, że ceny na auta są na Węgrzech silnie zróżnicowane. Najtańszy jest trabant, kosztuje 50 tys. forintów, za moskwicza płaci się 76 tys., za volkswagena 85 tys. Najdroższym aktualnie na węgierskim rynku samochodem jest fiat-2300, który kosztuje 148 tys. forintów. Raczej drogo. Ale jeszcze droższe są na Węgrzech mieszkania. Otóż za trzypokojowe lokum trzeba wyłożyć w Budapeszcie od 180 do 200 tys. forintów. To już prawie majątek.

Samochodowi ciułacze. Jest ich na Węgrzech podobnie jak w Polsce nieprzeliczona rzesza. Wszyscy oni cierpią poniekąd na brak wyobraźni. Przecież mogliby sobie wyobrazić, że auta zaczną spływać szerokim strumieniem do krajów RWPG, powiedzmy za lat 15, ale oni nie, muszą mieć już dzisiaj. Poeta starszej daty powiedziałby, że „struny ich duszy drgają pożądaniem". Ja bym powiedział, że zwyczajnie ciągnie ich do jazdy. Kiedyś jeżdżono konno, teraz jeździ się autami — ot i cała różnica. A jeździć trzeba, bo człowiek nie gwóźdź, który sterczy w ścianie aż zardzewieje. Kto wybiera się po auto w Budapeszcie musi posiąść cnotę cierpliwości. Na Węgrzech trzeba jej więcej niż nawet w Polsce. Za to w Polsce trzeba się wybrać w drogę po auto z nieco większym workiem złotówek na plecach. Średni zarobek sięga jednak na Węgrzech 2 tysiące forintów miesięcznie. W sumie, na jedno wychodzi.

Zatem obu bratankom szerokiej drogi!

JAN BĄBIŃSKI

ARKADIUSZ AWERCZENKO

CZWORO W PRZEDZIALE

W przedziale drugiej klasy pociągu pospiesznego siedziało troje pasażerów: urzędnik skarbowy Czetwierorukow, jego młoda żona — Simoczka i przedstawiciel firmy „Ewans i Krumbel" — Wasyl Abramowicz Sandomirski.

Na którejś stacyjce do przedziału wszedł podróżny we włochatym palcie i małej czapeczce. Popatrzył obojętnie na małżonków, na przedstawiciela firmy „Ewans i Krumbel", po czym zabrał się do czytania gazety.

Charakterystyczna, kolejowa nuda zawisła nad nimi. Czetwierorukow bezmyślnie obracał w ręku papierośnicę, Simoczka stukała obcasikami o podłogę, przenosząc roztargniony wzrok z mało interesującej twarzy Sandomirskiego na pasażera, który wsiadł do ich przedziału, a Sandomirski po raz dziesiąty przerzucał kartki tygodnika humorystycznego, w którym przeczytał już wszystko — do warunków przedpłaty i daty oddania numeru do druku.

— Jeszcze pięć godzin jazdy... — odezwała się Simoczka, rozkosznie ziewając. — Pięć godzin beznadziejnej nudy!

— Podróż pociągiem jest monotonna, dlatego nuży pasażerów — rzekł pouczająco małżonek.

A Sandomirski wtrącił:

— A przy tym ile kosztuje? Pomyśleć tylko: byle jaki bilet i już dwanaście rubli trzeba zapłacić.

I przerzuciwszy kilka kartek tygodnika dodał:

— Nie mówiąc już o plackarcie.

— To wszystko nic — stuknęła obcasikiem o podłogę Simoczka. — Najgorsza jest ta nuda!

Siedzący przy drzwiach nieznajomy złożył gazetę, obrzucił całe towarzystwo dziwnym spojrzeniem i zaśmiał się. A śmiech ten był jakiś tajemniczy, przyduszony...

— Państwo się nudzą? Nic dziwnego... To zupełnie zrozumiałe. A wiecie dlaczego się nudzicie? Bo nie jesteście tym, za kogo się podajecie. I to właśnie jest potwornie nudne...

Słowa jego wywołały zdziwienie.

— Nie rozumiem... Nie jesteśmy tymi, za kogo się podajemy?... — z obrażoną miną spytał Sandomirski. — Nonsens! Wszyscy jesteśmy autentyczni. Ja, jako inteligent...

Nieznajomy pokazał w uśmiechu dwa rzędy białych zębów.

— A ja powtarzam: nie jesteście tymi, za kogo się podajecie. Na przykład pan — kim pan jest?

— Ja? — uniósł brwi Sandomirski. — Jestem przedstawicielem firmy „Ewans i Krumbel", sukno, trykot i barchany.

— Ha-ha-ha! — wybuchnął śmiechem nieznajomy. — Wiedziałem, że wymyśli pan jakiś absurd! Kto w to uwierzy? Czemu okłamuje pan siebie i innych? Przecież pan jest kardynałem na dworze papieskim, a ukrywa się pan pod maską jakiegoś Krumbela! Pańska siedziba to Watykan!

— Watykan? — szepnął przestraszony i zdumiony Sandomirski. — Ja jestem Watykan?

— Nie Watykan, ale kardynał! Niech pan nie udaje głupca. Doskonale wiem, że jest pan jedną z najmądrzejszych i najznakomitszych postaci naszych czasów. Słyszało się coś niecoś o panu!

— Proszę wybaczyć — powiedział Sandomirski — nie lubię takich żartów...

— Giuseppe! — warknął groźnie nieznajomy, kładąc obie dłonie na barkach przedstawiciela firmy „Ewans i Krumbel". — Mnie pan nie oszuka! Zamiast głupich wykrętów chciałbym usłyszeć od pana coś interesującego o Watykanie, o zwyczajach, jakie tam u was panują, no i pańskich sukcesach, kardynale, u pobożnych, znamienitych Włoszek.

— Niech pan mnie puści! — krzyknął nie na żarty przestraszony Sandomirski. — Cóż to ma znaczyć?!

— Tsss!... — syknął nieznajomy, zakrywając dłonią usta komiwojażera. — Niech pan nie krzyczy! Przecież tu jest kobieta...

Wrócił na swoje miejsce koło drzwi, sięgnął do kieszeni palta i nagle — wyjąwszy rewolwer, skierował go wprost w Sandomirskiego.

— Giuseppe! Jestem bardzo, bardzo dobry, ale chronicznie nie cierpię obłudników i hipokrytów. Jeśli stają mi na drodze — wówczas nie ręczę za siebie!

Simoczka z głośnym „ach!" wtuliła się w kąt przedziału, Czetwierorukow pokręcił się na ławce, spróbował wstać, ale energiczny gest nieznajomego przykuł go z powrotem do miejsca.

— Proszę państwa! — odezwał się dziwny pasażer. — Przecież nie robię wam żadnej krzywdy. Możecie być spokojni. Żądam tylko od tego człowieka, żeby się przyznał — kim jest właściwie.

— Jestem Sandomirski! — szepnął pobladłymi wargami komiwojażer.

— Kłamiesz, Giuseppe! Jesteś kardynałem!

Lufa rewolweru wytrzeszczała na Sandomierskiego swe straszne czarne oko.

Czetwierorukow spojrzał zezem na nieznajomego i szepnął Sandomirskiemu:

— Przecież widzi pan co się dzieje... Niech pan mu powie, że jest pan kardynałem... Co panu to szkodzi?

— Ale ja nie jestem kardynałem! — z rozpaczą wyszeptał Sandomirski.

— On się wstydzi przyznać panu, że istotnie jest kardynałem — przymilając się rzekł do nieznajomego Czetwierorukow. — Nie ulega jednak wątpliwości, że na pewno nim jest...

— Prawda? — podchwycił nieznajomy. — Niech pan popatrzy na niego. Czy nie mam racji, że w jego twarzy jest coś kardynalskiego?

— Niewątpliwie! — zapewnił Czetwierorukow. — Ale... czy warto denerwować się z tego powodu?

— To niech on się przyzna! — kapryśnie zażądał nieznajomy, bawiąc się rewolwerem.

— No, niech już tak będzie! — rzekł z rezygnacją Sandomirski. — Jestem kardynałem...

— Proszę! — nieznajomy uroczyście podniósł rękę. — Nie mówiłem? Nikt nie jest tym, za kogo się podaje. Proszę o błogosławieństwo, Wasza Eminencjo!

— Coś pan tu kręci — ostrym tonem przerwał nieznajomy. — Przecież panu, jako osobie duchownej, nie wolno bywać na balach!

— Jaki to był bal! Skromne, domowe przyjęcie. Ona powiada do mnie „Giuseppe, jestem nieszczęśliwa! Chciałabym się panu wyspowiadać".

— Oświadczyć się — poprawił nieznajomy.

— Właśnie, że wyspowiadać. „Dobrze, mówię do niej, niech pani do mnie przyjdzie". Hrabina przyjeżdża i powiada: „Giuseppe! Proszę mi wybaczyć, ale kocham pana!".

— Idiotyczny romans! — skrzywił się nieznajomy. — Słuchaliśmy pana bez zainteresowania. Jeśli wszyscy kardynałowie są tacy jak pan to nie ma po co jechać do Rzymu.

Nieznajomy przeniósł wzrok na Czetwierorukowa, popatrzał nań życzliwie i rzekł ze współczuciem:

— Nie rozumiem, jak pan może dopuścić do tego, żeby pańska żona nudziła się w pańskim towarzystwie... Gdybym ja posiadał tak wspaniały dar...

Czetwierorukow zbladł i spytał, jąkając się:

— Dar? Ja... jaki da... dar?

— Głos! Ale z pana spryciarz! Myśli pan, że jeśli wisi nad panem czapka urzędowa, to już nikt nie pozna w panu słynnego barytona, który w La Scali i na innych reprezentacyjnych scenach świata odniósł tyle sukcesów?

— Pan się myli — uśmiechnął się wymuszenie Czetwierorukow. — Jestem urzędnikiem, a to jest moja żona Simoczka...

— Kardynale! — krzyknął nieznajomy, obróciwszy lufę rewolweru na Czetwierorukowa. — Jak pan myśli: kim jest ten obywatel — urzędnikiem czy znakomitym barytonem?

Sandomirski z satysfakcją popatrzył na Czetwierorukowa.

— Moim zdaniem — barytonem.

— Proszę! Ustami kardynałów przemawia prawda. Niech pan coś zaśpiewa!

— Ale kiedy ja nie potrafię — wyszeptał Czetwierorukow. — Mam straszny, skrzeczący głos.

— A-ha-ha-ha! — śmiał się nieznajomy. — To się nazywa skromność!

Żeby inni byli tacy jak pan. Niech pan coś zaśpiewa — bardzo proszę.

— Zapewniam pana...

— Śpiewać!

Czetwierorukow, bliski płaczu, spojrzał na nachmurzoną twarzyczkę żony i włożywszy ręce do kieszeni zaintonował jakąś pieśń z klasycznego repertuaru operowego. Podparłszy głowę ręką, nieznajomy z natężeniem wsłuchiwał się w jego śpiew. Od czasu do czasu trzaskał palcami i podśpiewywał, albo wymachiwał do taktu drugą ręką, uzbrojoną w rewolwer.

Komiwojażer niezdecydowanie wzruszył ramionami, po czym wyciągnął obie ręce i pomachał nimi nad głową nieznajomego.

Simoczka zakrztusiła się od śmiechu.

— Czego pani się śmieje? — obraził się Sandomirski. — Nie widziała pani jeszcze kardynała? Niech mi pan pozwoli wyjść na chwilę...

— Nie ma mowy! Proszę nam opowiedzieć, kardynale, o jakiejś pikantnej intryżce z odwiedzającymi pana damami.

— Jakimi damami? O jaką intryżkę panu cho...

Spojrzawszy na rewolwer, komiwojażer spuścił z tonu i powiedział żałosnym głosem:

— No, były intryżki... owszem. Ale czy warto o tym wspominać?

— Niech pan mówi! — krzyknął nieznajomy z wściekłym grymasem na twarzy.

— Proszę schować ten rewolwer, to będę mówił... Więc co mam powiedzieć? Aha! Pewnego razu zakochała się we mnie jakaś piękna Włoszka...

— Hrabina? — spytał tajemniczy pasażer.

— Tak. Hrabina. „Słuchaj, powiada, kocham cię strasznie!". Całowaliśmy się...

— O, nie! Niech pan opowiada ze szczegółami. Gdzie ją pan spotkał? Jak narodziło się wasze uczucie?

— Ona była na balu... Biała suknia z różami... Poznał nas z sobą jakiś poseł. Powiadam do niej: „Ach, pani hrabino, jak pani pięknie wygląda..."

— Piękne, piękne pan śpiewa! Sześć tysięcy na rok pan chyba ma? Co ja mówię, sześć. Napewno więcej... Mówcie co chcecie, a jednak muzyka uszlachetnia. Jak pan sądzi, kardynale?

— Jeszcze jak — z przekonaniem oświadczył komiwojażer.

— No i proszę powiedzieć: miałem rację czy nie? Ledwo państwo przestaliście podawać się za kogoś innego, ledwo staliście się sobą, już wasze humory się poprawiły i nuda uleciała. Mam nadzieję, że już się państwo nie nudzicie?

— Jak tu się można nudzić? — westchnął przedstawiciel firmy „Ewans i Krumbel". — Powszechne wesele i radość.

— Bardzo się cieszę. Widzę, że i pani twarzyczka poweselała. Niech mi pani wierzy: najgorsze w życiu to fałsz i obłuda. Jeśli z całym sercem podejmiemy walkę z tymi ułomnościami — zawsze odniesiemy zwycięstwo. Jeszcze kilka minut temu była pani przekonana, że ten pan jest komiwojażerem, a pani mąż — urzędnikiem. A ja w ciągu paru chwil zrzuciłem z nich maski obłudy. Jeden okazał się kardynałem, drugi — barytonem! Mam rację, kardynale?

— Pan mówi same mądrości — potwierdził smętnie Sandomirski.

— Dlatego zapamiętajcie sobie na całe życie: kłamstwo to najgorsza rzecz na świecie. Okrąża nas już od pieluch, towarzyszy nam na każdym kroku, oddychamy nim, mamy je na naszych twarzach, na ciele... Na przykład pani. Ma na sobie śliczną sukienkę, biustonosz, a pantofelki na wysokich obcasikach. Nienawidzę wszystkiego co jest kłamliwe, oszukańcze! Proszę pani! Pełen szacunku pozwolę sobie poprosić szanowną panią — niech pani zdejmie suknię! Ona zakrywa najpiękniejsze co istnieje w przyrodzie — ciało!

Dziwny pasażer z galanterią skierował lufę rewolweru na męża Simoczki i patrząc na nią uporczywie — miękko, delikatnie ciągnął dalej:

— Niech się pani rozbierze... Mam nadzieję, że szanowny małżonek nie ma nic przeciw temu...

Mąż Simoczki spojrzał zamglonym wzrokiem na lufę rewolweru i szczękając zębami, jak w ataku febry, powiedział:

— Jjja... nic... doppprawdy... Sam... bbbardzo lubię... piękno. Możesz... się... tttrochę rozebrać... he, he!...

Oczy Simoczki miotały błyskawice. Z obrzydzeniem popatrzyła na pobladłego Czetwierorukowa, na milczącego Sandomirskiego i zaśmiała się histerycznie:

— Ja też lubię piękno, a nienawidzę tchórzy! Dla pana rozbiorę się! Tylko niech pan powie swemu kardynałowi, żeby się odwrócił!

— Kardynale! — powiedział surowo nieznajomy. — Panu, jako osobie duchownej, nie wolno patrzeć na obnażone wdzięki. Niech pan zasłoni twarz gazetą!

— Simoczka... — szepnął Czetwierorukow. — Tylko odrobinę...

— Zostaw mnie! Sama wiem co robić!

Odpięła bluzkę i nie patrząc na nikogo rozbierała się blada, ze ściągniętymi brwiami.

— Prawda, że się mogę podobać? — spytała kokieteryjnie, uśmiechając się kącikami ust.

— Jeśli chce mnie pan pocałować, proszę się zwrócić o pozwolenie do męża. Na pewno nie odmówi.

— Barytonie! Pozwoli pan, że pełen czci dotknę ustami jednej z najpiękniejszych kobiet, jakie spotkałem w życiu? Niektórzy uważają, że jestem nienormalny, ale proszę mi wierzyć — znam się na ludziach!

Czetwierorukow, milcząc, z przerażeniem spoglądał na strasznego pasażera, kłapiąc dolną szczęką.

— O, pani! Mąż rzeczywiście nie ma nic przeciw temu. Pozwoli więc pani, że z czcią ucałuję pani rękę...

Pociąg zwolnił biegu, zbliżając się do dużej stacji.

— Dlaczego rękę? — spytała zawiedzionym głosem Simoczka. — Pocałujmy się normalnie. Przecież podobam się panu?

Nieznajomy obrzucił wzrokiem jej kształtne nóżki w czarnych pończochach i rzekł:

— Będę w siódmym niebie!

Nie spuszczając z męża płonącego wzroku, Simoczka przytuliła się całym ciałem do nieznajomego i mocno go pocałowała.

Pociąg zatrzymał się.

Nieznajomy z gracją złożył pocałunek na ręce Simoczki, zdjął z półki swą walizkę i rzekł:

— Kardynale! Barytonie! Pociąg ma tu dziesięć minut postoju. Przez ten czas będę stał na peronie z rewolwerem w kieszeni. Jeśli któryś z was wyjdzie — zastrzelę go! Zrozumiano?

— Niech już pan idzie!... — jęknął Sandomirski.

Gdy pociąg ruszył z miejsca, uchyliły się drzwi przedziału i w szparze ukazała się ręka konduktora z kartką. Czetwierorukow pochwycił kartkę i zdumiony przeczytał:

„Przyznacie, państwo, żeśmy się nie nudzili. Ten oryginalny sposób skracania czasu w podróży ma jeszcze tę dodatkową zaletę, że każdego ukazuje we właściwych, naturalnych wymiarach. Było nas w przedziale czworo: głupiec, tchórz, dzielna kobieta i ja — wesołek. Barytonie! Niech pan pocałuje ode mnie kardynała!".

Przeł. ADAM OCHOCKI

ZYGMUNT KĘTRZYŃSKI

Do dwuletniej

Więc jaka będziesz ty moja gałązko
czy polną różą zrumienioną słońcem
czy białą chmurką rozdwojoną wiatrem
więc jaka będziesz ty moja gałązko
dałem ci imię wybrane z tysiąca
dałem ci usta najczulsze i ciepłe
dałem ziarenka i korzonki mowy
więc jaka będziesz ty moja gałązko
chciałbym rozjaśnić twój uśmiech dziecięcy
chciałbym nasycić łagodne listeczki
ale ty nie wiesz
leczę raka wojny
więc jaka będziesz ty moja gałązko

IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

★ ★ ★

pamięci Ojca

Pamiętam wirujący pejzaż twojej twarzy —
— przywleczone z północy mroźne zaspy powiek
(ominą je czy zwietrzą przyszłe nartostrady)
i spływające żółcią usypisko nosa
nad zaciętością wargi w pół ściętego słowa

Gdzieś nie było powrotu Sponad wzgórza brody
śnieg w pory jeszcze kłuje A czasza klimatu
w śniedziejącą biel zębów wiedzie niestrudzenie
aż po równinę czoła z szeleszczącej skóry

I nie ma nic z niczego — tylko szrama we mnie
zarasta wciąż jeżyną

Potem idzie zima

październik 1967

U Melchiora Wańkowicza na Puławskiej

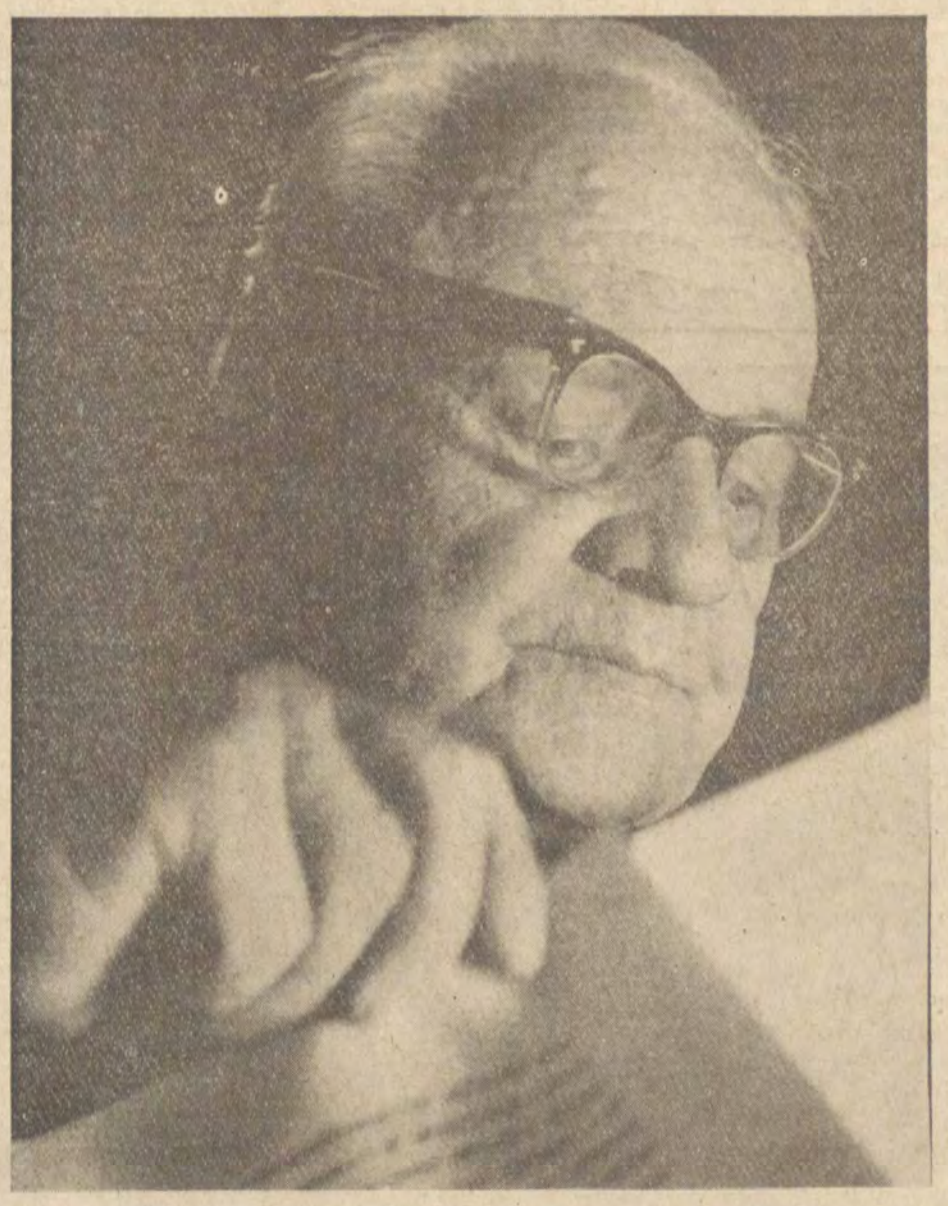

Z balkonu na piątym piętrze roztacza się przed nami piękna panorama Warszawy. Dzień jest słoneczny, więc chętnie patrzymy na domy, drzewa, autobusy i tramwaje, na śpieszących w dole ludzi. W swojej książce „Tędy i owędy" tak pisze Melchior Wańkowicz o kamienicy, w której mieszka: „Stoi na rogu Rakowieckiej i Puławskiej. Z okien mego mieszkania widzę kino „Moskwa", sąsiaduję z więzieniem i mam przed oczyma pętlę tramwajową. Dalej jednak rozlega się widok na Wisłę, po której przesuwają się żagle po linii z niewiadomego w niewiadome."

Jesteśmy z wizytą u jednego z najpracowitszych pisarzy polskich — mistrza reportażu, gawędy, felietonu i opowiadania. Rozmawiamy, przeglądamy książki pisarza stare i nowe, czytamy recenzje, które o nich napisano w Polsce i poza jej granicami, pijemy whisky and soda. Melchior Wańkowicz ma świetną pamięć, umie wyczarować z przeszłości niejedno barwne wydarzenie, okrasić je z naddatkiem przy powieścią lub anegdotą. Bo też gdzie on nie był i czego nie widział! Zjeździł pół świata: Rosja, Meksyk, Rumunia, Cypr, Iran, Egipt, Syria, Liban, Włochy, Francja, Niemcy, Anglia, Stany Zjednoczone — oto kraje, bynajmniej nie wszystkie, w których przebywał, o których pisał i opowiadał na licznych niezapomnianych spotkaniach z czytelnikami. Wańkowicz zna również dobrze własny kraj, czego nie można powiedzieć o każdym polskim pisarzu. Pisał o nim dużo w swoich przedwojennych książkach i powojennych felietonach.

W obfitej twórczości Melchiora Wańkowicza są książki, które stały się niejako symbolami, książki — czyny, książki — wydarzenia. To przede wszystkim „Na tropach Smętka" (pięć wydań przed wojną) i „Monte Cassino", ogłoszone w Rzymie, Edynburgu i Warszawie. Jest też piękny cykl powieściowy „Panorama losu polskiego", w którym autor zobrazował los Polaka — tułacza, jego wędrówkę na obczyznę za chlebem i jego walkę na wielu frontach świata „za wolność waszą i naszą."

Tragizm i humor — te dwa elementy współistnieją w książkach Wańkowicza niezmiennie, wyznaczają jego widzenie ludzi i życia. Tragizm i humor — dwie potężne dźwignie talentu pisarza, który nie ustaje w pisaniu, mimo że zbliża się już do osiemdziesiątki, i przygotowuje nowe dzieła do wydania. Jedno z nich pt. „Pisarstwo", zawierające sumę doświadczeń, przeżyć i przemyśleń Wańkowicza, winno ukazać się jeszcze w tym roku. Drukowane fragmenty z tej książki po różnych czasopismach zapowiadają rzecz niezmiernie ciekawą, napisaną z fajerem, bogatą w fakty i przekonywające analizy. Również i w poprzednim numerze „Odgłosów" drukowaliśmy rozdział z tej nowej publikacji pisarza. Znakomitemu autorowi „Monte Cassina" życzymy tęgiego zdrowia i dalszych równie wspaniałych osiągnięć twórczych.

JAN KOPROWSKI
Zdjęcia: A. WACH

URSZULA ASZYK

Teatrologia na uniwersytecie

Rozwój badań historycznych, teoretycznych i metodologicznych nad dramatem i teatrem, jaki obserwujemy w okresie Polski Ludowej, stwarza naszym wyższym uczelniom możliwości organizowania placówek, które podejmowałyby badania teatrologiczne, a równocześnie prowadziły w tej dziedzinie działalność dydaktyczną. Wydaje się, że szczególnie ta ostatnia — ma duże znaczenie dla popularyzowania sztuki teatralnej. Fakt, iż od lat prowadzone są zajęcia z zakresu teatru, a polonişci piszą prace magisterskie o teatrze, świadczy o rzeczywistym zapotrzebowaniu w tej mierze. Uzewnętrznia tę potrzebę najwidoczniej, przynajmniej na łódzkich studiach polonistycznych, ilość uczestników grup ćwiczeniowych i seminariów magisterskich z teatrologii. Nie można tego zapotrzebowania lekceważyć, już chociażby ze względu na długie i bogate tradycje teatru polskiego. Teatrologia, w programach studiów uniwersyteckich, nie jest jednak jeszcze samodzielną dyscypliną naukową. Jak zatem radzą sobie poszczególne ośrodki z prowadzeniem zajęć teoretycznych?

Wyjaśnienie tej sprawy było m. in. celem konferencji zorganizowanej przez ośrodek badań nad dramatem i teatrem, istniejący w katedrze teorii literatury Uniwersytetu Łódzkiego i zakład historii dramatu, teatru i filmu warszawskiego Instytutu Polonistycznego. Konferencja odbywała się w dniach 6 i 7 czerwca br. w Łodzi, w gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej.

Myśl zwołania konferencji, która podjęłaby zagadnienia teatrologii uniwersyteckiej, nurtowała już od dłuższego czasu krąg pracowników dydaktycznych, praktycznie zajmujących się wiedzą o teatrze. Odczuwało się bowiem konieczną potrzebę porozumienia w zakresie programu, charakteru jak i metody prowadzonych zajęć. Absorbujący uczestników łódzkiej konferencji problem był rozpatrywany w trzech aspektach:

1. Dotychczasowe doświadczenia poszczególnych uczelni w zakresie prowadzonych zajęć teatrologicznych.

2. Materiał nauczania teatrologii (propozycje ujednolicenia i usprawnienia programu nauczania).

3. Miejsce teatrologii w studiach polonistycznych.

Przedstawione w czasie konferencji sprawozdania i komunikaty, pozwoliły zorientować się w zakresie i rodzaju prac dydaktycznych. Okazało się, że każda właściwie uczelnia w Polsce wiedzę o dramacie i teatrze wprowadza do ogólnego programu studiów w inny sposób i na innych zasadach. Wszędzie natomiast pojawiają się te same trudności wynikające głównie z braku wyspecjalizowanej kadry naukowo-dydaktycznej, a także z braku odpowiednio opracowanego programu. Że jednak dydaktyka, dla wszystkich ośrodków teatrologicznych jest sprawą dużej wagi, świadczy obecność pracowników każdej z zaproszonych do udziału w konferencji uczelni. Byli więc przedstawiciele z ośrodków uniwersyteckich Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Poznania, Lublina oraz Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku. Dodać należy, że w konferencji obok pracowników naukowych wyższych uczelni wzięli udział również ludzie teatru (reżyserzy, kierownicy literaccy, krytycy teatralni).

Nie jest dziełem przypadku, że pierwsza ogólnopolska konferencja poświęcona wyżej wspomnianym zagadnieniom, odbyła się w Łodzi. Łódzki ośrodek badań nad dramatem i teatrem powstał w katedrze teorii literatury z inicjatywy prof. dr S. Skwarczyńskiej i liczy sobie już kilka lat. Jak potwierdziła konferencja — ośrodek łódzki prowadzi zajęcia w najszerszym zakresie i legitymuje się najbogatszymi doświadczeniami. Zagadnienia dramatu i teatru podejmowane są w Uniwersytecie Łódzkim już od pierwszego roku studiów. Ćwiczenia specjalistyczne, prowadzone dla III i IV roku, równolegle zresztą z zajęciami z filmoznawstwa, obejmują teorię dramatu i teatru, metodologię badań i historię teatru. Jednocześnie próbuje się zapoznać studentów z praktyką teatru współczesnego, stąd uzupełnieniem tych zajęć są spotkania teatru, recenzje i dyskusje po obejrzeniu wybranego spektaklu, uczestnictwo w próbach teatralnych, wycieczki za kulisy teatru itd. Wykłady i ćwiczenia teatrologiczne dają w rezultacie pewną sumę wiedzy i przygotowują studenta do samodzielnej pracy na seminarium magisterskim W innych ośrodkach uniwersyteckich najczęściej brakuje tego etapu wstępnego i w związku z tym odczuwa się trudności w realizacji programu seminariów magisterskich. Należy podkreślić, że możliwość prowadzenia zajęć teoretycznych w tak szerokim zakresie udało się w Łodzi osiągnąć dzięki stworzeniu odpowiedniego modelu katedry, która łączy w sobie teorię literatury, wiedzę o dramacie i teatrze i wiedzę o filmie. Wspólną i wyjściową bazą dla tych trzech dyscyplin jest kulturoznawstwo, historia sztuki i semiologia.

Konferencja dowiodła, że konieczna jest koordynacja poczynań wszystkich ośrodków. Prace teatrologiczne są na ogół pracami pionierskimi, a materiały nie zawsze łatwo dostępne. Na tym etapie badań. nie ma większego sensu powielanie tych samych tematów, nawet na szczeblu prac magisterskich, a na pewno już — na szczeblu prac doktorskich. Należałoby zatem rozwinąć informację o wszelkich planach i zamierzeniach, zarówno naukowych jak i dydaktycznych poszczególnych placówek. Wyjściem z tej sytuacji mogłoby stać się odpowiednie wydawnictwo o charakterze biuletynu.

Dyskutowana szeroko w czasie konferencji sprawa programu nauczania teatrologii, właściwie nie uzyskała ostatecznego rozwiązania. Uczestnicy konferencji formułowali swe postulaty dość ostrożnie, wychodząc z założenia, że w chwili obecnej każdy ośrodek może realizować jedynie własny program na miarę własnych możliwości. Uchwalono jednak, że istnieje potrzeba opracowania wspólnego programu ramowego, który w poszczególnych uczelniach stanowiłby podstawę dla tworzenia programów indywidualnych. Program taki powinien ujmować zagadnienia teatru i dramatu w szerokim kontekście kulturalnym i społeczno-politycznym. Wiedzy o teatrze nie można ograniczać jedynie do historii teatru. Dla zrozumienia zjawisk teatralnych ważna jest również znajomość zagadnień teorii i estetyki teatru. Celem zajęć teatrologicznych powinno stać się m. in. kształcenie umiejętności świadomego i kompetentnego odbioru sztuki teatralnej. Jest to tym bardziej ważne, że większość polonistów podejmuje po ukończeniu studiów pracę w szkole, a wielu — w placówkach kulturalno-oświatowych, gdzie siłą rzeczy o sprawach teatru mówić trzeba. Miejsce i funkcja teatru w świecie współczesnym, bynajmniej wcale nie malejąca, usprawiedliwia w całej rozciągłości solidne przygotowanie w tym zakresie.

Z racji swoich doświadczeń i tradycji ośrodek łódzki był w czasie konferencji w wielu momentach głosem doradczym. Dowodem uznania i zaufania było złożenie na ręce jego pracowników dwu zobowiązujących propozycji: opracowania ramowego programu zajęć teatrologicznych i wydawania biuletynu teatrologicznego.

Wszyscy uczestnicy konferencji za konieczność uznali częstsze spotkania o podobnie roboczym charakterze. Niezbędna bowiem jest wymiana zdań i doświadczeń, zwłaszcza, że chodzi o dziedzinę jeszcze zupełnie młodą, a jak wykazują doświadczenia — dziedzinę bardzo potrzebną. W tym zresztą zawarł się sens łódzkich obrad.

BARBARA KLIOMBKA

„Zmowa obojętnych"

„Nie bój się wrogów —
w najgorszym razie mogą cię zabić.
Nie bój się przyjaciół —
w najgorszym razie mogą cię zdradzić.
Strzeż się obojętnych —
nie zabijają i nie zdradzają,
ale za ich milczącą zgodą
mord i zdrada istnieją na świecie"

(Robert Eberhardt
„Cesarz Pithekanthropus Ostatni".)

Wiersz ten stanowi motto niedokończonej powieści Brunona Jasieńskiego pt. „Zmowa obojętnych".

Po przeszło 30 latach, nakładem Wydawnictwa Łódzkiego, ukazuje się książka pod tym samym tytułem — debiut powieściowy Eugeniusza Iwanickiego.

Obie te powieści poza tytułem łączy sprawa buntu młodego człowieka przeciw „obojętnym" na rzecz zaangażowania się w rzeczywistość, zmiana tej rzeczywistości, lub choćby jej części.

Dla Eugeniusza Iwanickiego „Zmowa obojętnych" miała być, jak sam przyznaje, „książką buntu przeciw drobnomieszczaństwu małych miast".

Założenie cenne i godne pochwały, tym bardziej, że buntuje się młody człowiek, który dopiero co ukończył studia i wydaje się być przygotowanym, przynajmniej teoretycznie, do rozpoczęcia własnego, dojrzałego życia. Buntuje się przeciwko zastanemu światu, chce go zmienić.

Jaki jest ten świat, w którym żyje nasz bohater, co mu się w nim nie podoba?

Przyznaje się do tego, że był punktem krzyżowania się dwóch światów: „wspomnień matki, niezmiennej ideologii ojca i codziennego życia". Gardzi światem rodziców — „małych, zapobiegliwych mieszczan, usiłujących zapełnić wszystko wokół siebie obojętną życzliwością, nudnym spokojem i jaskrawym dostatkiem". Przyciąga go świat drugi — codziennego życia. Ale co go w tym świecie przyciąga? Picie taniego wina, nauka boksu, granie całymi nocami w karty, łatwe dziewczyny — bo tylko o tym mówi jako o swoim życiu codziennym, pozadomowym. Również i ekonomię studiuje chyba tylko na złość rodzicom, żeby nie studiować prawa, mającego dawać złote krocie w przyszłości.

I to jest jego dom, dom ludzi wczorajszych, dla których czas zatrzymał się w roku 1939. Matka żyjąca wspomnieniami i ojciec były ziemianin, „ułan i birbant po dziś dzień" trwający w epoce „amarantów, polowań na łosie i przyjęć u hrabiego Hordyckiego". Nawet plany matrymonialne bohatera układane są przez rodziców według dawnych wzorów — ślub z córką dziedziczki Zapilskiej, która ma przyjechać (oczywiście!) z Londynu.

Rodzinka rzeczywiście dość osobliwa i nic dziwnego, że młody człowiek zrywa z nią i ucieka.

Gdy jednak przybywa do małego i bardzo odległego miasteczka (które dziwnym trafem leży blisko Łodzi), o nazwie Sosny Wielkie, to nie wiele czasu mija, a jest znów wśród ludzi zapatrzonych w przeszłość, która nie wraca, śniących o „pałacach, amarantach i herbach".

Zamierzenia autora są tu zupełnie jasne — ucieczka okazała się pozorną — łatwo uciec od miejsc, nie tak łatwo od środowiska, ku któremu nasz bohater mimo wszystko ciąży.

Tylko czemu autor wybrał właśnie to środowisko pachnące naftaliną i kurzem? Cóż znaczy bunt przeciwko konwencjom, którym hołduje jakaś groteskowa grupa byłych ziemian?

Prawda, w miasteczku Sosny Wielkie, grupę wiodącą, kształtującą opinię, tworzy nie tylko była arystokracja, należą do niej jeszcze prywatni wytwórcy linoleum, właściciele sklepów i „bardzo lepsi". To w ich środowisko dostaje się nasz zbuntowany bohater i z nimi zrywa. Pewnie, zerwanie było bohaterstwem, bo była to klika sprawująca władzę. Oni to potrafili wyjednać awans jak i spowodować upadek. Oni to sprawowali rząd dusz w miasteczku.

Tylko czy sprawę zerwania bohatera z tym środowiskiem musiał autor przeprowadzić na płaszczyźnie matrymonialnych perypetii bohatera, trochę współczesnych, trochę XIX-wiecznych, w które nie bardzo można uwierzyć.

Można mieć pretensje do autora, że nie wykorzystał możliwości, jakie sam sobie stworzył, że nie oddał specyfiki życia małomiasteczkowego, ani nie dał obrazu jego mieszkańców.

A przecież autor wykazał się niejednokrotnie umiejętnością obserwacji i stąd pretensje większe, bo o nie wykorzystane własne możliwości autora. Iwanicki umie obserwować, umie dać prawdziwe portrety ludzi jak choćby Majorowej czy ojca Elżbiety, a może jeszcze Ziutka, tylko niepotrzebnie całą filozofię streszczającą sens i cel buntu wkłada w jego usta — cwaniaka o mocnej głowie i twardych pięściach. Tym samym osłabia prawdę tych słów i niepotrzebnie streszcza w jednej wypowiedzi sens całej książki.

Bohater wyjeżdżając z Sosen Wielkich mówi, że nauczył się tu w ciągu roku więcej niż przez wszystkie lata nauki. Możliwe, jeżeli będzie umiał wyciągnąć odpowiednie wnioski i jeżeli po obiecanym powrocie do Sosen Wielkich, lub gdzie indziej, będzie wiedział jak żyć, żeby nie powiększyć grona obojętnych, „obojętnych na wszystko co dotyczy spraw ogólnych, społecznych, narodowych", obojętnych na wszystko z wyjątkiem własnych interesów.

Omawiając tę nową pozycję Wydawnictwa Łódzkiego chcę zachęcić do jej przeczytania szczególnie młodych czytelników. Czyta się ją dobrze. Napisana w konwencji nowoczesnej prozy powieściowej, przekazuje w swej oszczędnej narracji wiele bardzo istotnych spraw współczesnych. Zmusza do zastanowienia, jaką drogę w życiu wybrać. Bo iść dwiema nie można. To się nie uda, tak jak się nie udało bohaterowi powieści.

FELIKS BABOŁ

Drukarze ze STOKÓW

Dwadzieścia kilka lat przepłynęło ponad nimi, wiele rocznic zapisało się w nagłówkach gazet, niektórych wymieniano przy okazji uroczystych dekoracji, a tu na Tuwima, na miejscu wielopiętrowego wieżowca, były jakieś rudery, drewniaki, podwórka. Z tego trzeciego piętra wieżowca sięgamy właśnie pamięcią aż po okres bitwy stalingradzkiej.

Hodoń jest głównym księgowym w poważnym przedsiębiorstwie, a wtedy — gdy rodziła się historia konspiracyjnej drukarni na Stokach, zamelinował się na posadzie w niemieckiej spółdzielni rolniczo-handlowej na General Litzmannstrasse. Co innego Rosiński. W roku 43 był krawcem w firmie Berthold Stolz na Głównej. 7, a i teraz pozostał wierny igle — pracuje w spółdzielni krawieckiej Lewartowskiego. Więc w jego życiu właściwie nic się nie zmieniło. Dlatego tym żywsze, tym dramatyczniejsze są dlań tamte wydarzenia — tak jakby po 25 latach wszystko pozostało nie naruszone, nietknięte przez życiowe koleje.

— Z komitetem obwodowym złapaliśmy kontakt przez Turka i Starostę. Był to grudzień 42 roku. Dowiedzieliśmy się, że zapadła decyzja o założeniu drukarni. W Łodzi działały w tym czasie liczne drukarnie powielaczowe, ta nasza miała być prawdziwa. Turek i Starosta poszukali lokal, na drukarnię. Nie można było wybrać niczego lepszego jak ów domek na ulicy Weselnej na Stokach, gdzie mieszkał ojciec Turka, Józef i gdzie z części korytarza zrobiony był pokoik bez okna, o którym nikt w okolicy nie wiedział.

Drukarnia była prawdziwa. Pedałówka ręcznie dociskana.

— Czy w tym czasie należeliście do PPR?

Hodoń zastanawia się przez chwilę, co odpowiedzieć.

— Nie należeliśmy. Przystaliśmy na propozycję współpracy w drukarni, bo wiedzieliśmy, że to walka z Niemcami. Wie pan przecież jak to było — w czasie okupacji oprócz tych aktywistów partyjnych, członków PPR, wewnętrzny front walki z okupantem skupiał w Łodzi również dziesiątki tysięcy szeregowych Polaków. Wystarczyło im, że walczą ze szkopami. I mnie to wystarczyło, gdy uruchamialiśmy drukarnię na Stokach.

* * *

Leży przed nami jeden z numerów „Trybuny Ludu" drukowanej na Stokach, na ulicy Weselnej. Podtytuł brzmi: Organ Obwodowego Komitetu Polskiej Partii Robotniczej, rok II, 21 marca 1943 nr 19.... A na pierwszej stronie wspomnienie pośmiertne o tow. Marianie („Starym"). Ten tytuł jest w prostokącie zrobionym z odwróconych czcionek, bo drukarnia na Weselnej nie miała grubych czarnych ramek, a w nawiasie pseudonim Marcelego Nowotki ozdobiony jest dwukropkami, bo drukarnia nie miała cudzysłowów.

Nakład „Trybuny" ze Stoków był 5 tys., ale przecież w okupację gazety podziemia podawano sobie z rąk do rąk, dzielono się nimi jak chlebem, więc — to wspomnienie pośmiertne o tow. Marianie dotarło do setek tysięcy Polaków. Wielu z nich dopiero po przeczytaniu tego numeru gazety z 21 marca 1943 roku dowiedziało się, że i w podziemiu front walki jest skomplikowany, że nie wszyscy walczą o tę samą Polskę... Zginął z rąk wroga jeden z założycieli i pierwszy sekretarz Polskiej Partii Robotniczej tow. Marian (pseud. „Stary").

I potem życiorys Nowotki i gorące zapewnienie: „Śmierć twoja nie będzie daremna, pomścimy ją. Nie spoczniemy, póki nie doprowadzimy do zwycięstwa dzieła, dla którego żyłeś, pracowałeś i walczyłeś".

W tym numerze jest również ocena sytuacji dokonana przez KC PPR. „... W sytuacji wojennej nastąpił zdecydowany zwrot: inicjatywa działań przeszła w ręce bloku antyfaszystowskiego. Na głównym terenie wojny, na froncie wschodnim, Armia Czerwona przystąpiła do wielkiej ofensywy, odnosząc w pierwszych uderzeniach znaczne zwycięstwa pod Stalingradem i na Kaukazie, pod Wielkimi Łukami i nad środkowym Donem".

I potem sytuacja w kraju, ocena tendencji politycznych polskiego podziemia, sprecyzowanie celów walki... „Przyszła Polska, wolna i niepodległa wyjdzie z krwawych zmagań narodu z najeźdźcą. Wybitny udział klasy robotniczej i jej sojuszników chłopów i inteligencji w walce wyzwoleńczej wskazuje na charakter, jaki winna mieć przyszła Polska. Masy pracujące zdecydowane są nie dopuścić do powrotu dawnych sanacyjnych form ustrojowych, kiedy Polska była folwarkiem obszarników i bankierów, rodzimych i zagranicznych, macochą natomiast dla ludu pracującego..."

* * *

Praca w drukarni odbywała się w nocy, po zwykłej zarobkowej robocie Hodonia, Rosińskiego i innych. Zespół drukarzy był niewielki — oprócz tych dwóch jeszcze brat Jana Turka, Stefan, jeszcze Stanisław Starosta. Wydrukowany nakład przekazywał Strycharski, ale i sami drukarze nieraz wręczali paczki z „Trybuną" specjalnym łącznikom. Ci łącznicy odbierali gazetę na rogu Głównej i Kilińskiego — pod zegarem, wymieniając hasło, w którym zawsze musiała być liczba dziesięć albo jedenaście. Wspomnienia ludzi, z którymi rozmawiam, wskazują na liczne i ścisłe związki drukarni i jej pracowników z tow. „Ignacem" i tow. „Cenkiem". Tow. „Ignac" wysoko cenił sam fakt organizacji na Stokach konspiracyjnej drukarni. Często przekazywał materiały do druku, organizował środki finansowe na utrzymanie drukarni.

— I składaliście z rękopisów? To cholernie trudne dla zecerów, zwłaszcza dla takich jak wy — domorosłych zecerów...

— Postaraliśmy się o maszynę do pisania.

Właśnie Rosiński przepisywał na maszynie artykuły. Tę maszynę dostarczył drukarzom ze Stoków Komitet Łódzki PPR.

— Byłem w naszym zespole jedynym ukończonym maturzystą. Dlatego powierzono mi odpowiedzialność za styl i język, opracowania i skróty artykułów przedrukowywanych z „Trybuny Wolności".

To mówi Hodoń. Męczył się też nad kasztami, ślepiał przy składaniu, kombinował, gdy jakiejś czcionki brakowało w dużym składzie. Brakowało na przykład często litery „o". Odłamywali więc laseczki od „d" lub „b" i mieli „o". Brakowało też cyfr.

Wiadomo, że pedałówka, którą dysponowali organizatorzy drukarni, była zdobyczą wojenną. Ktoś porzucił maszynę w ucieczce przed wojskami hitlerowskimi, zakopano ją w ogródku i potem — po styczniu 1943 roku — drukowała „Trybunę Ludu". Ale czcionki, skąd drukarze wzięli czcionki?

— Znosił nam je jeden z Polaków zatrudnionych w drukarni „Litzmannstaedter Zeitung" na Piotrkowskiej 86. Raz przyniósł od A do K, innym razem cały alfabet tylko w innym kroju pisma, raz znów od K do Z, ale znowu inny krój. Kompletowaliśmy naszą drukarnię właściwie przez szereg miesięcy, wydając już gazetę. Ale któregoś dnia w drukarni na Piotrkowskiej gestapo zarządziło rewizję pracowników. Szkopy zaniepokoiły się ciągłymi ubytkami czcionek w kasztach. U tego naszego człowieka nie znaleziono nic, ale gdy kazano mu wywrócić kieszenie w spodniach — czarne były od farby drukarskiej. Nie wiemy do dziś, ile musiał wycierpieć w gestapo, gdy go bili na Anstadta, ale nie odliczył się już po wojnie. Kłopoty mieliśmy też z papierem — zbieraliśmy gdzie się tylko dało. Naszą gazetę drukowaliśmy na formacie nieco większym niż format zeszytów szkolnych, dla oszczędności — najwyżej cztery strony, nieraz też z powodu trudności papierowych drukowaliśmy „Trybunę" na papierze żółtym jak cytryna.

* * *

— Ale gazeta potrzebuje informacji. I to aktualnych, z dnia na dzień.

— Mieliśmy radio na Stokach.

Postarał się o nie Rosiński.

— U tego krawca niemieckiego, u którego pracowałem, poznałem w styczniu 43 roku pewnego Węgra. Wychodził ze szpitala wojskowego na Żeromskiego i chciał sobie przerobić u nas mundur. Pocharatali go na froncie, więc teraz mundur nie pasował. Podszedł do mnie, żeby omówić sprawę przeróbki. Od słowa do słowa — i zaczęliśmy rozmawiać o ubraniach cywilnych. Pyta mnie czy mógłym się postarać o materiał na takie ubranie.

— Dlaczego nie — mogę. Ale za co?

— A co chcesz, mógłym się o coś postarać. Czego ci potrzeba — zapytał?

— Masz radio?

— Przyniosę.

— Radio — na nasze warunki było idealne, bo bateryjne. Mogliśmy odbierać nie korzystając z sieci elektrycznej. Słuchaliśmy od tej pory dziennika z Moskwy i innych stolic nadających widomości po polsku. Notowaliśmy je na dwie ręce — z siostrą Janiną — aby niczego nie przegapić. Razem z siostrą przepisywaliśmy wiadomości na maszynie a potem Hodoń i Turkowie składali je do druku.

* * *

Ostatni numer „Trybuny Ludu" ukazał się na Stokach w dniu 3 czerwca 1943 roku. W momencie gdy nastąpiły aresztowania numer następny był już prawie gotowy. Cały niemal skład wpadł w ręce gestapo. Tylko Rosińskiemu udało się na wieść o wsypie zniszczyć swoją część składu zecerskiego, Hodoń nie miał w domu nic — wszystko już przekazał na Weselną. Wsypa?

— Jeden z łączników idąc na spotkanie, które towarzysze zwołali na Widzewie, wpadł w kocioł. Gestapo czekało już w mieszkaniu — łapali wszystkich wchodzących. Wydaje nam się dziś, że tylko ten łącznik znał adres drukarni na Stokach. Tegoż 18 czerwca ktoś zawiadomił mnie przez siostrę, żebym nie chodził na Weselną 32, bo tam już siedzą Niemcy. Aresztowali na miejscu starego Turka i brata Janka — Stefana. Samego Janka zatrzymali dopiero przy zbiorniku wodnym na Stokach. Musiał pewnie wszystko wziąć na siebie, gdyż ojca i brata zwolniono po dwóch tygodniach. Je mu zafasowali obóz koncentracyjny.

W tym wielopiętrowym wieżowcu przy ulicy Tuwima, gdzie odsłaniamy stare dzieje konspiracyjnej „Trybuny Ludu", wraca duch tamtych czasów sprzed dwudziestu sześciu lat. Teraz też łatwiej wiążemy sobie w całość niektóre wydarzenia występujące w historii Łodzi okupacyjnej oddzielnie jako samoistne fakty. Ta ma maszyna np. którą drukarze ze Stoków otrzymali od ludzi z Komitetu, pochodziła ze składu broni przy ulicy Piotrkowskiej, ogołoconego w śmiałym „skoku" przez grupę „Promienistych". Organizator drukarni na Stokach podzielił potem w obozie koncentracyjnym swój obozowy los z losem jednego z założycieli PPR w Łodzi Tadeusza Głąbskiego...

A inni? Brat Jana — Stefan Turek zginął od kuli w Skierniewicach (w czerwcu 45 roku) jako funkcjonariusz służby bezpieczeństwa, stary, zasłużony tramwajarz Józef Turek zmarł w kilka lat po wojnie, Feliks Strycharski, ciężko schorowany musiał się poddać kilka lat temu jakiejś poważnej operacji. Operacja się udała, ale Strycharskiego już nie ma.

Zostali ci dwaj — główny księgowy z ul. Tuwima i krojczy ze spółdzielni Lewartowskiego. Gdy się z nimi rozmawia, widać ile z własną przeszłością okupacyjną wiążą satysfakcji. Nie czują się osamotnieni we współczesności, oni przecież pracowali także nad jej ugruntowaniem, pomagali partii, choć sami nie byli członkami PPR. Są prości i skromni choć w rozmowie wymieniają nazwiska z tak zwanego świecznika, wspominają ludzi, z którymi drukarnia miała kontakty, w imieniu których działała. Luźne wspomienia o wydarzeniach na ulicy Weselnej spisane zostały również w Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego na Gdańskiej. Zachowano tam też część czcionek, które udało się uratować przed gestapo w dniu likwidacji drukarni. Niektóre czcionki mówią o kłopotach. Są to litery „o" zrobione z liter „d" lub „b"...

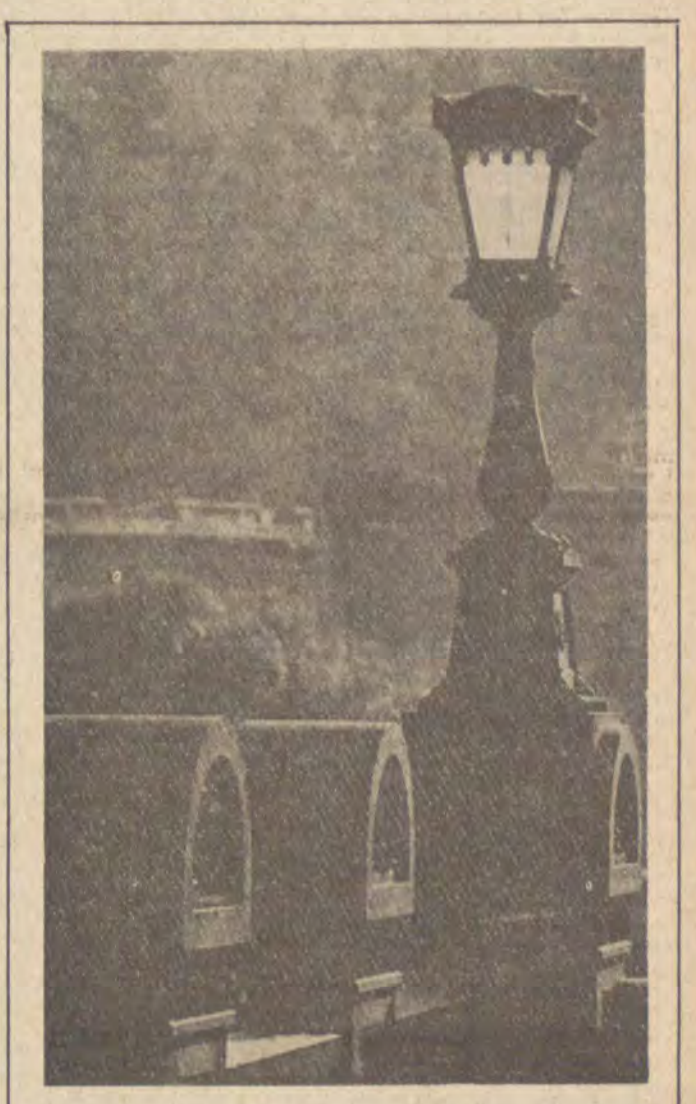

Z dzienników

Dokończenie ze str. 4

Czy to dobrze? Czy raczej może chodziłoby o to, aby każdy kto tu żyje miał poczucie, że jest tu taka sama Polska jak ta pod Łodzią czy pod Krakowem?

A może powinny tu się nieustannie ścierać dwa wielkie procesy: jeden dezintegrujący, a drugi integrujący? Jedni pisarze powinni ciągle uwypuklać problemy specyficznie mazurskie czy warmińskie, a drudzy wnosić elementy unifikujące, scalające, szukać tu nie tego, co specyficzne, odrębne, ale co takie same jak gdzie indziej?

17 czerwca 1967 r.

Od rana problem studni. Na moim podwórku zeszło się kilku sąsiadów i gospodarzy. R. twierdzi, że wystarczy wyciągnąć rury z ziemi i założyć nową skórkę w tłoku, a woda będzie leciała. To prosta sprawa, taka skórka w sklepie hydraulicznym kosztuje siedem złotych. Tylko, że trzeba rury wyciągnąć. Czyżby tylko przez tę skórkę za siedem złotych i odrobinę roboty przy wciąganiu rur poprzedni właściciel tego gospodarstwa nosił wodę z odległości czterystu metrów?

Dla pamięci notuję dyskusję z chłopami o mojej pompie:

K: — Od siedmiu lat woda nie leciała, to znaczy, że lecieć nie będzie.

Ja: — Wyciągnę rury i na pompie założę skórkę. Będzie leciała woda.

Z: — Może i będzie. Ale nie wiadomo.

K: — Pewnie, że nie wiadomo. Jakby S. (poprzedni właściciel) myślał, że będzie leciała, to by skórkę założył. Znaczy się, nie będzie leciała, skoro nawet nie próbował.

K: — Po co miał próbować, jak myślał, że nie będzie leciała?

Z: — Jak nie leci, to znaczy, że nie będzie leciała.

Ja: — Ale kiedyś leciała?

K: — Kiedyś tak, ale teraz chyba nie będzie. S. tak myślał, dlatego skórki nie zakładał.

Ja: — A dlaczego tak myślał?

K: — Bo nie leciała.

Ja: — Jak mogła lecieć, skoro nie ma w niej skórki?

K: — Po co zakładać skórkę, jak i tak nie poleci, bo nie leciała?

— Ja: Nie leciała, bo nie miała skórki. Jak będzie skórka, to poleci.

Ja: — Trzeba się przekonać. Warto.

K: — A pewnie, że warto. Tylko, że nie wiadomo. Bo jakby było wiadomo, to przecież S. nie nosiłby wody z tak daleka.

Ja: — Przecież on myślał, że nie poleci, więc skórki nie zakładał.

Z: — Nie wiedział, czy poleci jak założy skórkę, dlatego jej nie zakładał.

Ja: — No to dlaczego nie zakładał, żeby się przekonać?

K: — Bo nie wiedział, czy poleci.

Ja: — Może nie zdawał sobie sprawy, że to chodzi o zwykłą skórkę na tłoku?

Z: — E, dobrze o tym wiedział. Przecież nieraz tak sobie tu siadaliśmy wszyscy koło tej pompy i gadaliśmy: poleci woda czy nie poleci jak się skórkę założy.

Ja: — I długo to tak trwało?

K: — Ano, przez siedem lat, jak on tu mieszkał.

Ja: — I ani razu nie spróbowaliście?

Z: — Myśleliśmy, żeby spróbować. Ale nie wiadomo było, czy poleci woda.

Ja: — Teraz też nie wiadomo.

K: — A właśnie. Nie wiadomo, czy poleci.

Z: — Nie leciała, to i nie poleci.

Ja: — Kiedyś leciała, to i poleci.

K: — Nie wiadomo. Może i nie poleci.

Z: — To jest tak: S myślał, że nie poleci, ale nie było wiadomo. Więc siadaliśmy i gadaliśmy o tej pompie. Tak jak teraz.

Ja: — A może poleci woda?

K: — Może poleci.

Z: — Nie wiadomo.

Przyjemnie tak posiedzieć na trawie przed domem i rozmawiać o pompie.

ZBIGNIEW NIENACKI

LUDZIE XXV-lecia

ANDRZEJ MUNK

We wrześniu minie 8 lat od dnia, gdy jeden z nawybitniejszych przedstawicieli kultury polskiej powojennego okresu, Andrzej Munk, odszedł na zawsze.

W jubileuszowym roku refleksji nad kulturą ćwierćwiecza PRL należy chyba przywołać chwilę wspomnień nad życiem i działalnością twórczą jednego z tych jej przedstawicieli, którzy już nic więcej nie powiedzą.

Historyczne już dziś spojrzenie na całokształt dokumentalnej i fabularnej twórczości Munka pozwala dostrzec jej nierozerwalne związki z czasami, w których powstawała, pozwala rozszyfrować wszystkie jej uwarunkowania, wypunktować stałą obecność tego artysty tam, gdzie toczyły się dyskusje o dniu wczorajszym i dzisiejszym społeczeństwa. Spojrzenie z dystansu lat pozwala również odnaleźć w artystycznej biografii Andrzeja Munka jedną cechę wiodącą, a jest nią uparta konsekwentność. Odnajdujemy ją w treściach podstawowych i w kształcie artystycznym jego filmowej spuścizny.

Po ukończeniu studiów w Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi, pierwsze lata swej samodzielnej, twórczej działalności związał Munk z Wytwórnią Filmów Dokumentalnych. Okres ten przyniósł filmy, które nie tylko na tle ówczesnego stanu polskiego dokumentu stanowią pozycję wybitną. Oglądane po latach są nie tylko świadectwem czasów, ale i wyrazem ideowych i artystycznych poszukiwań twórcy. Co więcej, niosą w wielu jeszcze momentach ładunek emocjonalny, który utrwaliła pasja artysty zaangażowanego.

Filmy „Kolejarskie słowo" (1953) i „Gwiazdy muszą płonąć" (1954) stanowią w twórczości Munka i w ówczesnym polskim dokumencie w ogóle formy gatunkowo dojrzałe. Jednocześnie odnajdujemy w nich pierwsze sygnały poszukiwań, które pozwolą mu pokazać człowieka prawdziwego, przeciwstawiającego się okolicznościom od niego niezależnym i oporowi materii, którą trzeba opanować i pozyskać. W filmach tych idea, do tej pory zawarta w bezkonfliktowym haśle, przyjmuje swe autentyczne, osadzone w określonej społecznej rzeczywistości ucieleśnienie. Idea sprawdza się w walce i w codziennej pracy bohaterów dnia powszedniego — walczących o plan górników, czy doprowadzających punktualnie do celu „gwarancyjny pociąg" kolejarzy. Munk sięgnął do źródeł, w których znalazł szansę wyrwania się ze schematu ideowego i artystycznego.

Konsekwencję „Kolejarskiego słowa" i „Gwiazd" łamie następny film Munka „Błękitny Krzyż" (1955), w którym autentyzm ustępuje miejsca rekonstrukcji zdarzeń sprzed lat i czystej już inscenizacji. „Błękitny Krzyż" pozostał w twórczości Munka pozycją zupełnie nietypową. Film ten jest kulturalnie zrealizowaną opowieścią o wojennej przyjaźni i współdziałaniu, w której sensacyjna akcja i piękne zdjęcia Sprudina stanowią jednak walory podstawowe.

Inny, pozornie pozostający na marginesie całej twórczości Munka, film „Spacerek staromiejski" (1958) w istocie potwierdza szczególne cechy tej twórczości. Ten liryczny utwór, filmowa impresja uzmysławia ogromną wrażliwość Munka na szansę, jaką daje wnikliwa penetracja i drążenie w głąb rzeczywistości zastanej. Akcentowanie w tym filmie bogactwa świata dźwięków to odnajdywanie rzeczywistości utajonej, którą wrażliwość człowieka potrafi odnaleźć siebie i innych. W filmie tym Munk jeszcze raz ukazał swą pasję wydobywania artystycznej ekspresji z elementów rzeczywistości ujawnionej i pozornie ukrytej. Tę wyniesioną z doświadczeń dokumentalisty pasję, przeobrażoną w końcu w metodę, realizował Munk konsekwentnie w całej swej twórczości fabularnej.

Dbał zawsze o to, by bohaterowie jego filmów wpisani zostali w rzeczywistość autentyczną, stanowiącą ważki materiał dowodowy i argumentacyjny dla określenia takich a nie innych ich losów. Z „dokumentu" wyniósł Munk pewne rygory narzucające szczególne staranie o pełne prawdopodobieństwo rozwoju akcji. Akcję rozumiał jednak Munk jednoznacznie, ciąg zdarzeń był dla niego nierozerwalnie związany nie tylko z ich konstrukcją, dialogiem i działaniem aktora, ale również ze szczególną rolą scenerii i rekwizytu. Niesłychanie powściągliwy i oszczędny w komponowaniu kadrów filmowych potrafił Munk fascynować obrazami. Był bowiem mistrzem harmonijnej całości. Tę całość tworzy nierozerwalny związek postaci bohaterów z tłem, z drugim planem, z rekwizytami. Nie sposób niemal odnaleźć w kadrach Munkowskich filmów elementy zbędne, wszystko co w nich się znajduje pełni określoną, wyważoną funkcję. Szeroko rozumiana rzeczywistość uczestniczy w tych filmach życiem autentycznym.

W każdej rzeczywistości są sprawy (rzeczy) wielkie i małe, ich suma zaś stanowi o niej prawdę. Tak widział Munk rzeczywistość materialną, ale tak rozumiał przede wszystkim rzeczywistość spraw ludzkich. Dlatego też chyba dochodził zawsze do wielkich problemów idei i moralności poprzez sprawy pozornie „małe" i poprzez „małych ludzi". Odnajdywaliśmy to w jego najlepszych dokumentach, odnaleźliśmy też w jego pierwszym filmie fabularnym, w „Człowieku na torze" (1957) a później w następnych. O „Człowieku na torze" Munk kiedyś powiedział: **„Filmem tym chciałem podjąć pewną dyskusję, która jednak w momencie premiery okazała się nieaktualna, na tym polegał jego optymizm".** W „Człowieku na torze" tematem głównym były sprawy małe, warunkujące istotę spraw wielkich. Jednostkowy, człowieczy los służy w tym filmie demitologizacji idei, autentyczni ludzie uwikłani w codzienny trud, tworzący nową historię narodu zwyciężają mit nad tą historią ciążący.

„Człowiek na torze" był filmem, który akcentem bardzo mocnym i bardzo pięknym zamykał nie najlepsze lata kinematografii polskiej. „Eroica" (1958) jest już filmem, który historycznie łączymy z okresem szkoły polskiej. Twórca „Eroiki" i „Zezowatego szczęścia" zajmuje w tej „szkole" miejsce szczególne.

Sięgające do wielkiej tradycji polskiej literatury podstawowe motywy „szkoły polskiej", motywy walki zbrojnej, bohaterstwa i bohaterskiej śmierci znalazły swe miejsce również w twórczości Munka. „Eroica" odgrywa w tej dyskusji o czynie heroicznym rolę zasadniczą. W filmie tym Munk wystąpił znów jako polemista w stosunku do idei, którą dzieje losu narodowego ukształtowały jako wartość jednoznaczną, niepodważalną. Racjonalistyczny sceptycyzm nie pozwalał mu na widzenie problemu bohaterstwa w **kształcie czystym i w pewnym** sensie wyabstrahowanym: Jak zwykle szukał Munk dla idei praktycznego jej ucieleśnienia, nie umiał mówić o „wielkich sprawach" w oderwaniu od „małych". I chyba dlatego konstrukcja losów dwu „małych" ludzi Dzidziusia Górkiewicza i porucznika Zawistowskiego stała się dla niego głównym czynnikiem polemicznym. Służyła pytaniu o pełny sens bohaterstwa, pytaniu o wnioski, które z dziejów jednostkowego i ogólnonarodowego bohaterstwa wynikać powinny.

Do tych pytań powraca Munk w „Zezowatym szczęściu", filmie, który niejako zamyka krótki, lecz burzliwy okres „szkoły polskiej", a w twórczości Munka stanowi potwierdzenie jego antyromantycznej, racjonalistycznej postawy.

„Zezowate szczęście" przez swą wielowarstwowość nie jest filmem łatwym w interpretacji, zważywszy choćby na to, że losy filmowego bohatera nie są losami prostymi. Tragikomiczna historia Piszczyka to dzieje oportunisty. Ale jak zwykle u Munka, rzecz nie sprowadza się do jednoznacznego rozumienia Piszczykowego oportunizmu, a więc do dydaktyczno-wychowawczej anegdoty. Piszczyk to również człowiek nieszczęśliwy, prześladowany przez życie czy po prostu pech, nie zawsze tylko z własnej winy.

Zbyt wielu spraw Munk w tym filmie dotykał, zbyt wielu osobistym niepokojom i pytaniom starał się dać odpowiedź, by móc stworzyć dzieło w pełni spójne. Bezbłędnie współgrające ze sobą w „Eroice" tony tragizmu i komizmu, w tym filmie nie zawsze brzmią czysto, może dlatego, że tragikomedia staje się miejscami tragifarsą. Trzeba jednak w tym miejscu stwierdzić, iż nuty tragizmu, komizmu a nie rzadko gorzkiej ironii a nawet sarkazmu znakomicie współgrają z Munkowskim, racjonalistycznym widzeniem świata.

„Zezowate szczęście" stanowi ostatnią część tryptyku filmowego, którego motywem wiodącym był zawsze człowiek osadzony w konkretnej, szczególnie rzetelnie widzianej rzeczywistości, zobiektywizowanej jeszcze przez swój bardzo narodowy charakter. Rysem szczególnym tego tryptyku było dość nietypowe w naszej kulturze widzenie spraw człowieka i jego idei nie przez pryzmat emocjonalnych projekcji, lecz intelektualnych rozważań.

Pośmiertne niejako dzieło Andrzeja Munka — film „Pasażerka" dokończony przez jego przyjaciół w roku 1963 zapowiadał nowy okres twórczości autora.

Nie dokończony, w swych istniejących fragmentach przemawia tak ogromną skalą środków ekspresji artystycznej, tak wielkim zasobem ogólnoludzkich problemów moralnych, spośród których sprawa godności człowieka wysuwa się na plan pierwszy, tak wnikliwą próbą zgłębienia psychiki człowieka, że nawet w tym nie zamkniętym do końca kształcie posiada ten film znamiona wielkiego dzieła sztuki.

EWA NURCZYŃSKA

TELEOBIEKTYW

Co nam przyniesie rok 1970

Prasa łódzka doniosła w ubiegłym tygodniu o poważnych inwestycjach telewizyjnych przewidywanych w Łodzi już w najbliższych miesiącach. Informacji na ten temat udzielił dyrektor wojewódzkiego przedsiębiorstwa „Stacje Radiowe i Telewizyjne" inż. Longin Wiszowaty.

Przede wszystkim zaawansowana jest budowa nowego nadajnika dla Łodzi o mocy 1 kilowata. Po ukończeniu prac budowlanych rozpocznie się montaż aparatury, przy czym oddanie jej do eksploatacji przewidziane jest na koniec grudnia.

A zatem wejdziemy w rok 1970 bogatsi o nowoczesny nadajnik. Jakie to ma znaczenie, nie trzeba chyba nikogo przekonywać. Pamiętamy jeszcze fatalną awarnię nadajnika w Zygrach, która miała miejsce 24 sierpnia ubiegłego roku, kiedy to telewidzowie zamieszkali w zasięgu tej stacji pozbawieni zostali możliwości oglądania filmu z popularnej serii „Alfred Hitchcock przedstawia", a kolejna pozycja programowa — transmisja z festiwalu w Sopocie uległa dotkliwemu okaleczeniu.

Awarie aparatury elektronicznej są zawsze możliwe. Nie można ich zawczasu przewidzieć, jak nie można przewidzieć momentu, w którym przepali się żarówka elektryczna. Ważne jest natomiast, by w miejsce uszkodzonego zespołu móc natychmiast po awarii włączyć zespół rezerwowy. Wówczas telewidzowie nie odczują niemal kilkunastosekundowej przerwy w programie.

Od jesieni ubiegłego roku nie mieliśmy wprawdzie równie dotkliwych, jak wyżej opisana, awarii. Niemniej jednak nowy nadajnik wzmocni niewątpliwie zabezpieczenie ciągłości programowej i przyczyni się do podniesienia poziomu technicznego emisji.

Inżynier Wiszowaty podał inną jeszcze wiadomość, o większej wadze. Już w najbliższym czasie rozpoczną się przygotowania do montażu aparatury technicznej niezbędnej dla nadawania II programu telewizyjnego. Rok 1970 będzie zwrotny w dziejach naszej telewizji. Myślę, że warto sobie w pełni uzmysłowić, na czym ten zwrot polega.

W ciągu kilkunastu lat istnienia telewizji w Łodzi ten środek masowego przekazu stał się najpopularniejszą formą rozrywki. Prawda, że narzekamy nieraz na program, ale niektóre jego pozycje zyskały sobie pełne uznanie publiczności. Nie będę tu wymieniał sukcesów programowych TV, gdyż lista ich byłaby zbyt długa.

Nic dziwnego, że przyzwyczailiśmy się sięgać co rano po gazetę, by z zamieszczonego tam programu wybrać sobie te pozycje, które chcielibyśmy obejrzeć. W ten sposób telewizja ma wpływ na planowanie naszych zajęć. Wybiegnijmy teraz wyobraźnią o nieco więcej niż rok w przód! Gazeta przynosić nam będzie dwa programy TV.

Nasz dotychczasowy wybór ulegnie radykalnej jakościowej zmianie. Dotąd polegał on na pytaniu: oglądać, czy nie oglądać? W 1970 roku jesienią zaczniemy się zastanawiać: co oglądać? Propozycje dwóch programów wzbogacą możliwości wyboru, przyczynią się do szerszego zaspokojenia różnorodnych gustów publiczności.

Łatwe przerzucanie się z kanału na kanał uczyni oglądanie telewizji atrakcyjniejszym, zmniejszy ilość zażaleń na układ programu. To będzie naprawdę kolejny wielki krok w rozwoju naszej TV przed niedalekim już nowym wielkim krokiem, jaki stanowić będzie wprowadzenie telewizji barwnej.

W sensie technicznym postęp naszej TV jest zaplanowany i jak widzimy — realizowany. Ale wiemy dobrze, że samo zainstalowanie aparatury nadawczej nie załatwia jeszcze sprawy emisji II programu. Stwarza tylko możliwość. Zasadnicza batalia rozegra się w płaszczyźnie programowo-artystycznej.

Nie mam danych liczbowych, które wskazywałyby, ile ludzi zatrudnionych jest w Polsce przy redagowaniu, wykonawstwie i realizacji jedynego jak dotąd programu TV. Nie pomylę się jednak stwierdzając, że jest to liczba rzędu kilku tysięcy osób. Ta armia ludzi rosła i nabierała doświadczenia na przestrzeni kilkunastu lat.

I oto przed personelem redakcyjnym i realizatorskim TV staną nowe, znacznie większe zadania. Nie wiem, czy będzie to od razu podwojenie czasu emisji, czy na początek II program będzie emitowany krócej. W każdym bądź razie obecna kadra TV okaże się z pewnością ilościowo niewystarczająca. Do programu wejdą nowi ludzie. Miejmy nadzieję, że z nowymi pomysłami, nową inwencją.

W tych warunkach pęknie wiele schematów programowych. Ich miejsce zajmą nowe formy. Być może między obu programami zaistnieje zdrowa konkurencja, obliczona na przyciągnięcie widza. A konkurencja przyczyni się z pewnością do podniesienia poziomu programów.

Trudno w tej chwili bawić się w dalsze przewidywania. Prawdopodobnie trwają już w telewizji dyskusje na temat nowego programu. Ze swej strony staraliśmy się tylko wykazać, jak bardzo zwrotny w dziejach polskiej TV będzie moment uruchomienia II programu.

Władysław Orowski

Bertolt Brecht z Lipska

Dzięki ożywionej wymianie zagranicznej Teatr Wielki w krótkim stosunkowo okresie czasu, po występach Teatru Opery i Baletu z Tbilisi, dał nam drugą okazję obejrzenia zespołu zagranicznego, tym razem Opery Lipskiej z NRD. Zaprezentowała nam ona raczej mało w Polsce znaną operę Weilla — Brechta „Powstanie i upadek miasta Mahagonny".

Prapremiera tego dramatu muzycznego miała miejsce również w Lipsku, w 1930 roku i wywołała wówczas istny skandal. Przedstawienie przerwano krzykami protestu, gwizdami, wreszcie interwencją policji. Część widzów powędrowała do aresztu, ówczesny dyrektor Opery został po pewnym czasie wyrzucony ze swego stanowiska i popełnił samobójstwo. Oburzone mieszczaństwo domagało się zdjęcia opery z afisza, opozycjoniści, zaś traktowali to jako atak na wolność sztuki. Rada miejska wybrnęła salomonowym wyrokiem: zezwoliła na wystawianie sztuki poza przedstawieniami abonamentowymi.

Co tak dotknęło niemieckie mieszczaństwo? Mahagonny — znaczy mahoń. To określenie nasunęło się Brechtowi po raz pierwszy, gdy w 1922 roku zobaczył w Monachium ludzi w brunatnych koszulach, ludzi bezwzględnych, twardych jak drewno. Zbliżała się epoka faszystowskich Niemiec, epoka dyskryminacji i przemocy. W 1933 roku Brecht jako jeden z pierwszych znalazł się na indeksie hitlerowskim i opuścił Niemcy, by powrócić dopiero w 1948 r. Jego wizja stała się rzeczywistością, miasto Mahagonny stało się państwem Mahagonny.

Trójka zbiegłych przestępców, chcących żyć wygodnie i bez pracy zakłada miasto — sieć, która ma łowić ludzi z pieniędzmi. Miasto powstaje i rozwija się, ale mieszkańcom dokuczają zbyt mała swoboda, zakazy. Zbliżający się huragan uświadamia ludziom, że nie warto budować tego co może zostać w jednej chwili zniszczone, że jedyne co warto, to używać życia. I tę maksymę zaczynają realizować. W Mahagonny rządzi pieniądz — gdy jeden z mieszkańców nie może zapłacić za kilka butelek wódki, zostaje stracony na krześle elektrycznym. Kiedy zaś przychodzi kryzys wszyscy są przeciw wszystkim. Rozruchy, manifestacje, pochody kończą świetność miasta, zaczynają jego upadek.

Sztuka była ostrzeżeniem, pokazywała do czego prowadzi bezideowość, chciwość, żądza użycia, anarchia i „dzika wolność". Ale sztuka jest wieloznaczna i ta wieloznaczność pozwala na różnoraką jej interpretację. Niejednolita jest też muzyka, fragmentami zresztą bardzo piękna. To sprawia, że tam gdzie się chce ominąć wymowę polityczną dramatu, wystawia się go jako musical.

Opera Lipska potraktowała dzieło zgodnie z intencjami Brechta. Wypunktowano całą społeczno-polityczną wymowę „Mahagonny", zachowano artystyczną koncepcję teatru brechtowskiego, teatru przejaskrawionego, groteskowego i groźnego zarazem, w sposób okrutny niemal przekazującego prawdę, wizję przyszłości. Lipscy realizatorzy *), którzy wystawili tę operę w 1967 roku (już trzeci rok cieszy się ona na tej scenie niesłabnącym powodzeniem), znali już nie tylko drogę do świetności miasta Mahagonny, znali również jego drogę do upadku. A dziś przez zachodnią granicę mają możność obserwowania nowych tendencji do budowy państwa Mahagonny. Dlatego ich spektakl nie ma niedomówień, aluzji. Jest prosty, jednoznaczny, dopowiedziany do końca. Jest znów ostrzeżeniem, nowym ostrzeżeniem.

Ubiegłoroczny występ baletu Opery Lipskiej wykazał, że ma ona znakomity zespół baletowy, przedstawienie „Powstania i upadku miasta Mahagonny" udowodniło, że nie ustępują baletowi aktorzy — śpiewacy i orkiestra. Interesująca, ambitna inscenizacja, utrzymana w jednolitym konsekwentnie stylu gra aktorska sprawiają, że przedstawienie to ogląda się z prawdziwym zainteresowaniem. Na szczególne wyróżnienie zasługują: Ruth Asmus-Martens (Leokadia Begbick), Helga-Marlies Karhan (Jenny), Edgar Wahlte (Paul Ackerman), Georgi Kuscheff (Potrójny Mojżesz) i Werner Schraps (Willy).

T. W.

*) „Powstanie i upadek miasta Mahagonny". Muzyka: Kurt Weill, libretto: Bertolt Brecht, kierownictwo muzyczne: Walter Hessel, inscenizacja: Joachim Herz, scenografia: Hans-Ulrich Schmuckle, kostiumy: Eleonore Kleiber. Gościnne występy Opery Lipskiej.

POLONICA

PLAŻEWSKI O „KINIE PROTESTU"

Tygodnik radziecki „Li tieraturnaja Gazieta" pu blikuje w numerze z 11 czerwca br. artykuł polskiego krytyka filmowego Jerzego Plażewskiego pt. „Blaski i cienie „kina protestu". Praca ta, nawiązując do znanych bun tów młodzieży na Zacho dzie, które są wyrazem ostrych wewnętrznych sprzeczności współczesnego kapitalizmu, przedstawia tę problematykę w oparciu o analizę najnow szej fali filmów okre ślonych przez krytykę ja ko „kino protestu". W obrazach tych socjalne, mo ralne i kulturowe kryzysy Zachodu, ukazane poprzez byt i nastroje części młodzieży, znajdują czę sto interesującą choć nie pełną egzemplifikację.

KOPERNIKOWSKI JUBILEUSZ

Informacje o przygotowaniach do obchodów w Polsce, w roku 1973, pięć setnej rocznicy urodzin genialnego astronoma Mikołaja Kopernika przyno si najświeższy numer radzieckiego miesięcznika „Inostrannaja Literatura". Uroczystość ta jest wielkiej wagi wydarzeniem kulturalnym a także politycznym, położony w niej bowiem zostanie akcent na przeciwstawienie się jawnym fałszerstwom historii i naukowym falsyfikatom, jakich dopuszcza ją się reakcyjne, rewizjonistyczne i nacjonalistyczne koła w NRF. Przygotowania do obchodów koper nikowskich w Polsce są już zaawansowane — informuje miesięcznik. W Toruniu zaczęto wydawanie serii książek popular nonaukowych pn. „Biblioteka Kopernika". Pierwszą pozycją tego cyklu jest praca prof. Karola Górskiego pt. „Dom i krąg rodzinny Mikołaja Kopernika".

K. F.

POLONICA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

TWÓRCA „MARSYLIANKI"

Claude-Joseph Rouget de Lisle (1760—1836) urodził się jako syn prowincjonalnego adwokata. By do stać się do Szkoły Wojskowej, Claude-Joseph przybiera sobie nazwisko o szlacheckim brzmieniu — de Lisle. Odbywając studia więcej interesuje się literaturą niż studiami wojskowymi. Pisze wiersze, zbyt jednak kiepskie by uczyniły go sławnym.

W roku 1792 kapitan Rouget de Lisle przebywa w Strasburgu jako oficer tamtejszego garnizonu. I oto rozchodzi się wieść o wybuchu wojny między rewolucyjną Francją a Austrią. Mer miasta, Dietrich, zwraca się do 32-letniego kapitana, o którym wiadomo, że pisuje wiersze: „Pan, który przemawia językiem poetów, niech nam napisze piękną pieśń dla ludu, który idzie walczyć". Tej jeszcze nocy Claude-Joseph chwyta za pióro i skrzypce i w nagłym przebłysku natchnienia tworzy genialne dzieło „Chant de guerre pour l'armee du Rhin" (Pieśń wojenna Armii Reńskiej) zwana później „Marseillaise", „Marsylianką". Rano zjawia się autor pieśni u mera. Żona mera zasiada do fortepianu i gra utwór kapitana. Wszyscy są zachwyceni. W cztery dni później, kiedy oddziały wyruszające na front defilują przez Strasburg, orkiestra gra „Chant de guerre" a rozentuzjazmowani ludzie śpiewają słowa pieśni, która następnie stanie się hymnem republikańskim, a w 1795 hymnem narodowym Francji.

Tymczasem na autora pieśni, wśród rozmaitych perturbacji politycznych, jakie w owych czasach przechodziła Francja, spadają niepowodzenia i kłopoty życiowe. Rouget de Lisle podejrzany o działalność rojalistyczną przesiaduje blisko dwa lata w więzieniu, za Dyrektoriatu znów powraca do chwały, ale potem niełaska Napoleona, któremu autor „Marsylianki" naraził się pisując na Bonapartego satyryczne piosenki, wtrąca Rougeta de Lisle w długoletnią, skrajną nędzę. Prześladowany przez wierzycieli, nawet więziony za długi, chory, utrzymuje się z trudem przy życiu zarabiając przepisywaniem nut. Nikt wtedy nie śpiewa zakazanej przez Napoleona „Marsylianki", a jej autor jest niemal całkowicie zapomniany.

W roku 1830 Rouget de Lisle mieszka w Choisy. Ma już 75 lat. I oto dowiaduje się, że podczas rewolucyjnych Dni Lipcowych lud śpiewa jego pieśń. Płacze wtedy z radości, ale jest zbyt słaby, by wybrać się do Paryża. Wkrótce jego los poprawia się nieco. Paryżanie urządzają zbiórkę pieniężną by wręczyć mu zapomogę, a potem Ludwik Filip, jakkolwiek nie pozwala na śpiewanie „Marsylianki", przyznaje jej autorowi niewielką dożywotnią rentę. W roku 1836 Rouget de Lisle umiera. Na jego pogrzebie robotnicy śpiewają, wbrew zakazowi, „Marsyliankę" oddając hołd zmarłemu.

WYWIAD Z MIRÓ

Podczas pobytu Joana Miró w Genewje, z okazji otwarcia ostatnio jego wystawy grafiki, przedstawiciel dziennika „Journal de Geneve" przeprowadził wywiad z tym 76-letnim, jednym z najwybitniejszych malarzy współczesnych, przedstawicielem kierunku, który określany bywa jako surrealizm nieﬁgurawny.

Na pytanie dziennikarza czy to Picasso był pierwszą osobą w Paryżu, którą Miró spotkał po swym przyjeździe w roku 1919 z rodzinnej Hiszpanii, malarz odpowiedział: „Tak. Często widywałem w Barcelonie jego matkę. Była to zdumiewająca kobieta. I ona poradziła mi żebym odwiedził Pabla. Dała mi dla niego ciasteczka".

W dalszym ciągu wywiadu dziennikarz pyta m. in. czy Miró ma jakieś specjalnie ulubione motywy swego malarstwa? „Tak — odpowiada malarz. — Na przykład ptak i kobieta, gwiazdy, słońce i księżyc..."

„Pańskie obrazy — pyta dalej dziennikarz — zazwyczaj mają piękne tytuły. Czy powstają one przed wykonaniem dzieła?" „Daję poetyczne tytuły moim dziełom — mówi Miró — ale nie od nich zaczynam. Przychodzą mi one na myśl dopiero wtedy, kiedy pracuję. I już dalej pracuję w atmosferze jaką przynosi dany tytuł".

GWIAZDOR DAWNEJ ESTRADY

Jednym z najpopularniejszych aktorów estradowych Paryża na przełomie XIX i XX wieku był Leopoldo Fregoli. Z pochodzenia Włoch (jego ojciec zarządzał pałacem pod Rzymem, własnością jednego z włoskich hrabiów) wcześnie zdradzał zamiłowania aktorskie. Ojciec nie chciał jednak słyszeć o tego rodzaju karierze Leopolda. Pewnego dnia zjawiła się w domu Fregolich zapłakana młoda dama, która wśród rozpaczliwych łkań wyznała, że została uwiedziona a następnie porzucona przez Leopolda Fregoli i że spodziewa się dziecka. Ojciec Leopolda przejął się bardzo losem uwiedzionej przez syna dziewczyny i już miał zaproponować jej jakieś zadośćuczynienie gdy nagle młoda kobieta zaczęła się pokładać ze śmiechu. Uwalniając się z kobiecych szat, stanął przed swym ojcem nie kto inny, a jego własny syn Leopoldo. On to bowiem w przebraniu, zmieniwszy głos, odegrał po mistrzowsku rolę uwiedzionej i porzuconej dziewczyny. Potem już ojciec nie sprzeciwiał się aktorskiej karierze syna. Leopoldo wyjeżdża do Paryża i tu święci niebywałe triumfy. Ma niesłychany dar naśladownictwa. Występuje w skeczach jako dyrektor, reżyser, dyrygent, parodiuje w sposób zabawny Wagnera, Gounoda, Bizeta. Sam jeden potrafi w ciągu trzystu występów zainteresować publiczność. Urodzony w roku 1867 umarł w 1936.

Od niedzieli do niedzieli

ZNAK PLASTYCZNY

WSZECHOBECNA PLASTYKA — JELEŃ NA MYDLE — GRAFIKA CHEDOMU — OP-ART W „TELIMENIE" — TWÓRCZOŚĆ ANONIMOWA — KTO MA KOMPLEKSY?

Jest taki rodzaj twórczości plastycznej, który dopada nas wszędzie. Kiedy zakładamy buty i kiedy zdejmujemy koszulę, kiedy otwieramy książkę i kiedy otwieramy konserwy... Oczywiście — wiadomo: firmowy znak graficzny, wszechobecna plastyka reklamowa.

Przed miesiącem otwarto w Warszawskim Domu Plastyka przy Mazowieckiej wystawę takich znaków plastycznych i spotkała się ona z entuzjastycznym przyjęciem publiczności. Bo też w końcu nie mamy się czego wstydzić — polskie znaki plastyczne nie ustępują w niczym światowym osiągnięciom tej specyficznej dziedziny plastyki — projektują je przecież najwybitniejsi polscy artyści. Tak było zresztą zawsze. Zdarzyć się może, iż ktoś nie zna ilustracji Tadeusza Gronowskiego do „Pana Tadeusza", ale na pewno każdy Polak powyżej lat czterdziestu pamięta „Radlon", który sam pierze i owego kota wyskakującego z białej piany... Zdarzyć się może, że ktoś zapomni imienia swojej pierwszej miłości, ale jelenia skaczącego na bloku mydła Schichta nie da się zapomnieć...

Ale wróćmy do Łodzi. Otwarto i u nas niewielką ekspozycję znaków plastycznych. Był to plon konkursu na znak firmowy przedsiębiorstwa CHEDOM. Gdyby nie powtarzająca się na planszach nazwa przedsiębiorstwa można by myśleć, że to po prostu wystawa eksperymentalnej grafiki...

Kto wie, czy wrażliwość plastyczna odbiorcy, uczulenie na piękno graficznej formy, nie zaczyna się właśnie od znaku wytłoczonego na bucie czy koszuli. Niezależnie bowiem od sporów i dyskusji między „użytkowcami" a przedstawicielami „sztuki czystej" — pierwsi torują drogę tym drugim, oni nawiązują pierwszy kontakt z odbiorcą, oni w jakiś, chyba istotny sposób, kształtują smak odbiorcy.

Jest taki znak firmowy Domu Mody „Telimena": litera T utworzona jak gdyby z pasma tkaniny w biało-czarne pasy. Niby zwisająca luźno tkanina a jednocześnie opartowska forma graficzna — jednocześnie reklamowy znak, który wbija się w pamięć. Spełnienie tych wszystkich warunków — reklamowych, wizualnych, artystycznych — nie jest na pewno łatwe, wymaga umiejętności syntezy, skrótu — wymaga sprzężonego niejako spojrzenia artysty i handlowca.

Spora grupa polskich grafików specjalizuje się w tej trudnej dziedzinie — znajdziemy tam nazwiska i Karola Hilschera i — nieżyjącego już — Stanisława Zamecznika... W ostatnim konkursie CHEDOMU doszlusowali do tej grupy także i łódzcy plastycy — Wiesław Czapski i Alfred Wątorowski, zdobywając jeden nagrodę, drugi wyróżnienie.

Nie ma oczywiście róży bez kolców. Pejzaż Konstantego Mackiewicza oglądamy zawsze jako pejzaż Konstantego Mackiewicza — twórca jest tu nierozerwalnie związany z dziełem. Kiedy jednak kilka razy dziennie wpada nam w oczy firmowy znak „Telimeny" nie wiemy, że zaprojektował go Witold Surowiecki. Być może porównanie obrazu ze znakiem firmowym nie jest zbyt stosowne, ale fakt pozostaje faktem: oba są dziełem myśli plastycznej z tym, że twórca znaku skazany jest na anonimowość.

Kto wie, może stąd biorą się kompleksy „użytkowców". Twórcy „sztuki czystej" z kolei skazani są na mały, czasem mikroskopijnie maleńki krąg odbiorców. Więc też mają kompleksy.

Spory i spięcia są więc nieuniknione. Pokutuje romantyczny model rozumienia funkcji artysty, a z drugiej strony — jak pisze Mieczysław Porębski — „aktualna sytuacja twórczości artystycznej tym różni się od dziewiętnastowiecznej, że kluczowym problemem nie jest sprawa podtrzymania czy rozwinięcia historycznej samowiedzy narodu, ale cel bardziej uniwersalny — wypracowanie własnego, socjalistycznego modelu i stylu uczestnictwa we wszystkim co niesie współczesna cywilizacja".

W tym modelu jest miejsce także dla plastyki nie tylko tej z sal wystawowych, ale i tej z pudełek i opakowań. Rzecz prosta, proces zmierzający do przebudowy samych podstaw i racji istnienia sztuk plastycznych w naszym kraju nie może obywać się bez konfliktów i napięć. Więc napięcia i konflikty są — czasem uzewnętrzniają się na łamach gazet, na co dzień pulsują podskórnym nurtem.

Wystawy, na których znaki firmowe eksponuje się jak „szlachetną grafikę" są rekompensatą „użytkowców" za anonimowość. Myślę, że słuszna to rekompensata, zwłaszcza że walory czysto artystyczne tej „sztuki powielanej" są bardzo wysokie.

Natomiast na pytanie o nadrzędność sztuki użytkowej nad „czystą" lub vice versa — postawione mi niedawno przez pewnego plastyka — odpowiem pozornie wykrętnie, choć zgodnie z prawdą: „Dobra „sztuka czysta" i dobra sztuka użytkowa jednakowo są potrzebne i równie wysokie są ich społeczne zadania". Obie powinny wypierać kicz i hochsztaplerkę — zarówno na płótnie jak i na pudełku.

JERZY WIDOK

Bez strachu

SŁOŃCE

Trzeba napisać o słońcu, aby sprawę słońca wyjaśnić, bo w sprawie słońca są niejasności... Jedni chodzą nasłonecznieni, opaleni nawet wtedy, kiedy słońca nie ma, a inni chodzą bezsłoneczni, biali, nawet kiedy słońce jest. Zapewne, słońce w tym samym czasie dla jednych jest, a dla innych nie ma. Jest dla tych, którzy chodzą po stronach nasłonecznionych, nie ma go dla tych, którzy chodzą po stronach cienistych. Słońce, wokół którego krąży ziemia, jest zawsze dla krążącej ziemi. Ziemia krąży wokół Słońca, krąży zawsze, natomiast ludzie w blasku słońca chodzą tylko niekiedy. Czy zawsze kiedy mówimy: „Słońce jest"... i chcemy powiedzieć to prawdziwie, musimy dodać „...dla ziemi", „...dla ludzi", czy nie można ukontentować się samym „słońce jest..." lub „słońce jest dla słońca?!" Bytowanie słońca jest szeregiem złożonych faktów. „Grzanie", „świecenie..." jest to strona nasłonecznionego bytu dostępna ludziom — w tej postaci gorącego, grzejącego krążka, słońce przedstawia się ludziom nie uzbrojonym w teleskopy. Ludziom patrzącym przez te teleskopy, słońce przedstawia zupełnie inne oblicze. W tej astronomicznej chwili słońce skupiło się w dogodną dla nas formę — jest w sam raz (dla nas), ani za małe, ani za duże, ani za dalekie, ani za bliskie. Podobno słońce pulsuje, kiedyś skupi się w iskrę o sile palącej tak straszliwej, że zamieni naszą ziemię w strugę elektronów, bądź urośnie w jet niego czerwonawego olbrzyma ogarniając całą przestrzeń obecnego układu słonecznego i tym sposobem niszcząc także planetę, na której sobie siedzimy. Hipotezy te są dodatkowym motywem do analizy i sprawy słońca. Chodzi o to, by obliczyć czas możliwego istnienia naszego gatunku i zmierzyć go z czasem swej pulsacji. Może będą to biliony lat, a może pięćdziesiąt milionów. Jeżeli biliony, to można zaczekać, jeżeli tylko pięćdziesiąt milionów, to trzeba powoli przygotowywać się do oddziaływania na słońce. Do tej pory to słońce nas grzeje, oświetla, opala... Słońce robi dla nas wiele, a my dla słońca nic... Rzecz pierwsza, to wyrobić w sobie czynny, aktualny stosunek do słońca, przeświadczenie o możliwości oddziaływania na nie, mocne przekonanie w tej kwestii. To na razie wystarczy, resztę zostawimy specjalistom... Co do mnie, wejdę w cień, zamknę oczy i będę sobie wyobrażał słońce — nieskończenie wielkie, czerwone i nieskończenie małe, gorące. Pulsuje we mnie w czasie i przestrzeni, które wytwarzam. Niekiedy wyobraźnia jest tak silna, że pomyślane i wyobrażone słońce pali mnie w zamknięte oczy. Znika oczywiście, kiedy podnoszę powieki. Wydaje mi się, że każdy człowiek ma własne wyobrażenie słońca — niekiedy o nim zapomina, kiedy przebywa w świetle prawdziwego (dla niego) słońca — przypomina sobie, kiedy stanie w cieniu i zamknie oczy. Jaka jest różnica pomiędzy słońcem nie wyobrażonym, a słońcem wyobraźni. Pierwsze świeci dla wielu ludzi, drugie jest słońcem zamkniętych oczu, słońcem jednego człowieka — ale to drugie jest jego wytworem i jego niezaprzeczalną własnością, natomiast z pierwszego dostaje nieduży, promienisty skrawek.

BERNARD SZTAJNERT

CHARLES B. CHILD

OKALECZONA RĘKA

DOKOŃCZENIE

— Nie umarłem przecież tutaj! Dlaczego mój trup został poruszony? — zapytał.

Śmiech, który się rozległ, był dla Chafika ukojeniem. — Tak się cieszę, że pan oprzytomniał — rzekła Gisela.

Chafik usiłował przezwyciężyć zamęt, w jakim się znalazł jego umysł.

— Proszę mi wybaczyć moją pomyłkę — zwrócił się do Giseli z galanterią — myślałem, że jestem otoczony aniołami.

Dotknął obolałej szyi i zauważył, że ma świeży opatrunek.

— Ten kompres szybko usunie wybroczyny — wyjaśniła Gisela.

— Szyja, kompresy — chcą tu usunąć dowody! — zacharczał inspektor, odrzucając prześcieradło. — Kto to zrobił? Przynieście mi lustro!

Wyrwał z ręki Giseli lusterko i przechylił je, aby zbadać swą szyję.

— Kciuki! — krzyknął.

— O czym pan mówi?

— Kciuki, kciuki! Szukam człowieka bez kciuków — wrzasnął Chafik.

Potem przestraszył się gwałtownością własnego głosu i wyjąkał:

— Przepraszam panią, ja... Wtem zobaczył, że Gisela blednie. Nie odrywała wzroku od wejścia do namiotu.

Chafik odwrócił głowę i spostrzegł, że płótno namiotu unosiła jakaś okaleczona ręka.

— Ryszard — wyszeptała Gisela.

W chwilę potem wszedł do namiotu doktor Anton, za nim Abdullah i Ryszard Garwith.

— Panie inspektorze — zameldował sierżant, pański napastnik uciekł, lecz ja...

— Zostawcie mnie w spokoju — jęknął Chafik, odwracając się do ściany namiotu.

Sierżant poprosił wszystkich aby wyszli. Gdy wrócił do namiotu, zobaczył, że inspektor siedzi na pryczy ze skrzyżowanymi nogami, z wiecznym papierosem w ustach.

— Musiałem pozbyć się ich wszystkich. Złości mnie, gdy się robi ze mnie przedstawienie.

Był bardzo zdenerwowany. Sierżant zauważył to i cierpliwie czekał. Inspektor rozłożył przed sobą dziwne przedmioty. Były to: rozwidlona gałązka brzoskwini, ołowiana przedziurawiona kuleczka, marynarka rozdarta o mosiężny haczyk tkwiący w chodniku grobowca. Wreszcie przestał im się przyglądać i zwrócił się do swego podwładnego.

— Znajdź mi jakiś kawałek drutu, Abdullah. Poślij także kogoś z naszych ludzi do najbliższego ogrodu. Powiedz mu, aby uciął z brzoskwini rozwidloną gałązkę. Moje auto może go zawieźć stąd do Bagdadu i przywieźć z powrotem w ciągu godziny. Gdy już wszystko będzie gotowe, o świcie urządzimy alarm. Rozumiesz? Ludzie zaczną strzelać i biec w kierunku grobowca tego człowieka, który zmarł przed tysiącami lat. I niech się tam zatrzymają. Nikt nie powinien wejść do środka.

W sześć godzin później inspektor zgniótł niedopałek ostatniego papierosa, poprawił krawat, przyczesał gładkie, czarne włosy, włożył swój sidarah i wyszedł.

Rozległ się hałas karabinów. Inspektor pobiegł w kierunku swych ludzi, którzy trzymali straż przed wejściem do grobowca. W obozie Antona szczekały stróżujące psy. Archeolog wybiegł z namiotu w piżamie, z narzuconą marynarką.

— Co się dzieje? — zawołał Anton, przybiegając do grobowca. Tuż za doktorem biegł Garwith.

— Ktoś wszedł do grobowca — wyjaśnił Chafik.

Puszczono w ruch generator elektryczny, w tunelu zapaliły się światła. Doktor Anton wszedł do grobowca, za nim inspektor. Garwith, który biegł, aby przyłączyć się do nich, został odsunięty na bok przez Abdullaha. W straży tylnej szła grupa robotników i policjantów.

Potem nadeszła Gisela Anton. Zatrzymał ją kapral, mówiąc: Przepraszam, mam rozkaz, aby odprowadzić panią do namiotu i pozostać tam na straży.

W tunelu mężczyźni zaczęli posuwać się naprzód. Kiedy znaleźli się w najwęższym miejscu, Anton ostrzegł: — Proszę uważać!

Posuwający się tuż za nim Chafik, wyszeptał: Tu znalazł śmierć Jamil Goury. — Pociągnął ręką wzdłuż ściany aby odszukać przewodnik elektryczny. Szarpnął go — i światła zadrżały. Pociągnął jeszcze raz — światło zgasło. Tunel pogrążył się w nieprzeniknionych ciemnościach.

— Boże, mój Boże! — krzyczał Anton, usiłując cofnąć się do tyłu. I wreszcie rzucił się naprzód, aby walczyć z czymś, co go zaatakowało w ciemności. Jęki, które wydawał, były jękami duszonego człowieka.

Chafik schwycił za nogi, które zaczęły kopać. Wyciągnąwszy się ponad inspektorem, Abdullah przytrzymał mocno łydki Antona i oznajmił: Mam go, inspektorze.

— Zwolnij ucisk, uważaj, żebyś go nie zabił! — Potem zaczął mówić do Antona, gdy ten już prawie dusił się. — Jamil Goury był nazywany królikiem, lecz są także inne zwierzęta, które kopią, gdy są złapane w sidła myśliwego. Powiedz mi, dlaczego zabiłeś go?

Anton bełkotał nie mogąc schwycić oddechu. Garwith krzyknął: Wykończcie go, tego demona!

— Demon i ja mamy jeszcze sobie dużo do powiedzenia — rzekł chłodno Chafik. Lecz pan, Ryszardzie, powinien raczej pomyśleć o Giseli. Będzie bardzo pana potrzebowała, gdy zakończę tę całą sprawę.

— Dosyć już tego! — zaczął nagle błagać archeolog. — Tak, umarł w taki sposób, jak pan myśli.

— Do czego ta zbrodnia była wam potrzebna? Znalazł pan złoto przywiezione tu przez hitlerowców przed wielu laty? — pytał inspektor.

— Tak, tak — rzęził Anton.

— A więc znaleźliście złoto w grobowcu, gdzie ukryli je spadochroniarze. To złoto służyło wam także dla Akkaru, waszego uwielbianego Akkaru. Jamil Goury wiedział, że je znaleźliście. Dlatego musiał umrzeć. Ale nie to jest najgorsze.

Najgorsze jest to, w jaki sposób zabiliście człowieka, systemem, którego się używa na króliki. Ciągnęliście go za nogi, aby go „ocalić" — mówił Chafik — o, tak... — I pociągnął silnie nogi archeologa. Tunel wypełnił się zduszonym rzężeniem.

— Sidła na króliki — powtórzył inspektor — pętla z żelaznego drutu, obciążona kuleczkami ołowiu, w równej odległości jedna od drugiej, jak palce u ręki, ręki bez kciuka. Jest to chytry sposób, aby ukryć zbyt widoczne odciski drutu. Następnie posłużył się pan gałązką brzoskwini, aby zawiesić pułapkę w ten sposób, że królik, wchodząc do tunelu, potrącił ją — i pętla spadła na jego szyję, zaciskając wokoło. Przygotował pan dla Jamila tę samą grozę, tu w ciemnościach, którą ja panu zgotowałem. Lecz ja jestem litościwy i nie będę czekać, aż pan umrze, doktorze Antoni Zapalcie światła!

Gdy zajaśniały lampy (uprzednie pociągnięcia drutem elektrycznym były sygnałem dla policjantów na zewnątrz grobowca, aby zgasili światło), Chafik wyciągnął się ponad archeologiem już pozbawionym sił i uwolnił go od pętli. Potem odłączył pętlę od mosiężnego haczyka, którym poprzedniego dnia rozdarł marynarkę.

— Ja nie schowam mojego węzła, jak pan swój schował w czasie, gdy z taką troskliwością wyciągał pan trupa Jamila Goury. Lecz zapomniał pan o kuleczce ołowianej, która oderwała się od drutu oraz zostawił pan część gałązki, która się odłamała.

Wyprowadzili Antona na zewnątrz, w światło wczesnego poranka. Ulicą odkopanego miasta nadchodził właśnie patrol policjantów. Prowadził tubylca, który poruszał się podskakując, jak wystraszona kuropatwa.

— Ach, wykrzyknął Chafik — zakończyło się także polowanie na chukar!

Zbliżył się do policjantów: obchodźcie się z nim dobrze. Ten biedak, oszalały z bólu, pełen przesądów, wszedł do grobowca po zbrodni Antona i zasztyletował mojego przodka. Jego ograniczony mózg wierzył, że ręce człowieka, zmarłego tyle tysięcy lat temu, zadusiły jego dobrego pana.

Inspektor, bardzo już zmęczony, zwrócił się do Ryszarda Garwitha i rzekł uprzejmym tonem: Niech pan idzie do Giseli. I proszę jej powiedzieć, że gdy ta chmura okropności rozejdzie się, życzę jej, aby była bardzo szczęśliwa.

Opr. A. S.

Fot. S. Chybowski

spektakle tygodnia

	Liczba spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Zemsta nietoperza"	1	1125	90
„Kniaź Igor"	1	730	60
„Carmen"	1	680	55
„Jezioro łabędzie"	1	640	50
„Tragedyja albo rzecz o Janie i Herodzie"	1	850	70
POWSZECHNY			
„Czarna komedia"	1	600	70
NOWY			
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę	1	700	100
„Szkoła żon"	1	700	100
MAŁA SALA			
„Szkoła żon"	1	180	90
JARACZA			
„Ania z Zielonego Wzgórza" 7,15	1	560	88
„Jadzia wdowa"	3	1688	100
OPERETKA			
„Hrabina Marica"	6	4411	65
FILHARMONIA			
koncerty symfoniczne	2	740	60

Lewym okiem

KARIOKI I GEJSZE

Międzynarodowe Targi Poznańskie są poważną imprezą, z roku na rok poważniejszą i cała prasa zamieszczała o nich rzeczowe, ciekawe informacje. Dorzućmy od siebie garść mniej poważnych.

Na pewno należy fotografować dwudziestopiętrowe dźwigi i uniwersalne maszyny do skręcania sprężyn. Wycieczki chłopów w strojach spod Sieradza i Łomży nie fotografują dźwigów. Siedzą w wątłym cieniu jednego z nielicznych, ocalałych drzew, na ziemi, porozpinali sukmany i solidne kamizele, upał niewąski, buty pieką. Co krok to wózek z wodą, a mimo to przy każdym z nich długa kolejka. Na dworcu prawie wszystkie kasy czynne, ale cała hala dworcowa kołysze się wielkim, gęstym tłumem. Kupno miejscówki na powrót do domu za cztery... dni załatwiamy natychmiast po przyjeździe do Poznania, tracąc półtorej godziny na nieustanną zażartą wojnę z cwaniakami, których kolejki nie obowiązują.

Następne dwie godziny stoimy w biurze zakwaterowań. Nie wiem, jak miasto daje sobie radę z taką ćmą gości, gdzieś jednak ci ludzie nocują. Zmiętoszeni, z kwitkiem upragnionym w ręku, wypełzamy z biura, jest już południe, o pójściu na obiad tu w śródmieściu nie ma mowy. Wprawdzie wszystkie lokale inkasują specjalny dodatek, ale nic nam od tego nie lepiej. Ani tam wejść, ani usiąść, ani doczekać się. Całe cztery dni będziemy żyli kiełbasami z wody z musztardą, sprzedawanymi masowo na terenie targów. Zebrano tu chyba kiełbaski z całej Polski. Nie będę jadł kiełbasek przez cały rok. Dixi.

Najtrudniej wejść na targi. Eleganccy panowie z central handlu zagranicznego (elegancja jest ich głównym zajęciem) wchodzą dumnie, migając z daleka stałymi kartami wstępu. Reszta chętnych ciśnie się przed jedyną kasą, ustawioną przy głównym wejściu. Kolejka do tej kasy jest jeszcze jednym dowodem niezmierzonej cierpliwości urzędniczej. To przecież urzędnicy tu stoją, trzymając w pogotowiu dwudziestozłotówki. Stoją i stoją, niektóry nawet żartuje. Wreszcie dostoją, kupią, wejdą, trafią na stoisko swej branży, znikną za zasłonki, wychyną spoza niej z wypiekami na policzkach, z zaaferowanym na pokaz obliczem, z ważnością wypisaną na wysokim, wysokim czole.

Dla laika to cóż: maszyny i maszyny. Bez żadnych tam smarów, zgrzytów, potrząsań i poszarpywań. Piękne, łagodne, czyściutkie — sama zabawa. Czasem którąś puści w ruch Niemiec w pomarańczowym kaftanie albo wysoki Szwed w muszce pod brodą. Coś tylko lekko drgnie, świśnie, chłopcy zbiorą gorączkowo naręcza prospektów — idziemy dalej. Idziemy, nie patrząc na nic, czekając, kiedy wreszcie skończy się ta hala, a po niej ta druga, dziesiąta i dwudziesta.

Maszyny i dziewczyny. Dziewczyny — cuda, karioki, gejsze, girlsy. Oczywiście — same rodaczki, chociaż bardzo, bardzo niechętnie to zdradzają. O wiele chętniej zdradzają kolory noszonych w tym sezonie dezabilów. Sukieneczki przestały być modne, zostały ledwie przepaski na biodrach. Podstawowym ubiorem jest właśnie tamten drobiazg. Śliczne dziewczęta. Śliczne nogi, ręce, oczy. Fotografujemy więc ową skręcarkę sprężyn czy też agregat do napełniania tubek klejem. Pstryk. Dziękuję. Karioka ani drgnie. Nie rozumie po polsku.

Na sztucznym lodowisku jeździ figurowo na łyżwach młody człowiek. Nie wiem, dlaczego. Zawsze można przysiąść na ławce i popatrzeć. Brazylijczycy częstują wszystkich gości fantastyczną kawą w tekturowych kubeczkach, co jakiś czas przerywają jednak poczęstunek, żeby się ludzie w kolejce nie pobili. Zresztą ci Brazylijczycy to też poznanianki. Kolejka warczy i na wołuje do pośpiechu. — Co tam się tak powoli ruszacie! — woła ktoś do poznańskiej Brazylijki. Kubeczki chowamy skrzętnie na prezent dla dzieci. Kubeczek z tektury — duża rzecz!

Przed halą amerykańską znany mi od lat artysta wycina błyskawicznie sylwetki klientów za parę złotych. Posiwiał już, a wycina — coraz szybciej. Trochę dalej można zamówić własną karykaturę a la minute. W kolorach, z błyskiem w oku. Lodów dokoła tyle, że można by całą Łódź na rok zaopatrzyć. Do szyb pawilonu hiszpańskiego przylepia twarze gęsty tłum: tam się przygotowuje bankiet. Zwyczajny schab, ogórki, rzodkiewki. Ale popatrzeć warto — Hiszpania!

Dalej Japonia graniczy z Rumunią i Gwatemalą, a jeszcze trochę dalej jest granica naszych sił. Klap... Za dużo maszyn. Za dużo słońca. A kwatera tak daleko!...

CWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (red. naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Halina Bekowa (redaktor techniczny), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda poezja i proza), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Włodzimierz Stokowski (z-ca red.naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi, Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł. kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1486. VII B-12.